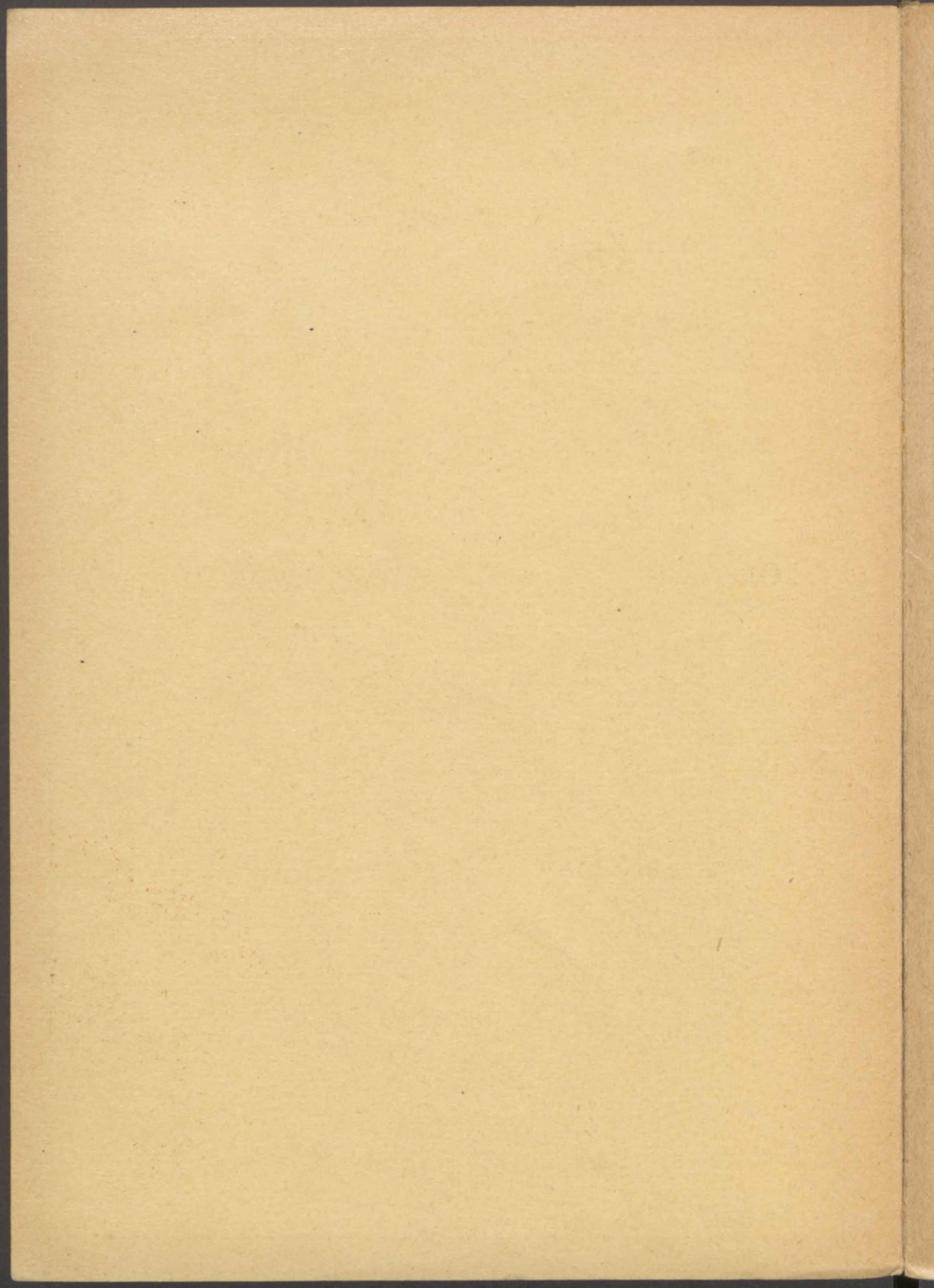
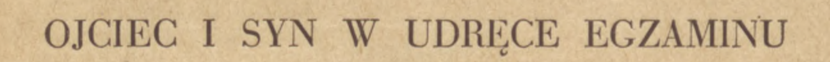
H. FEDERER

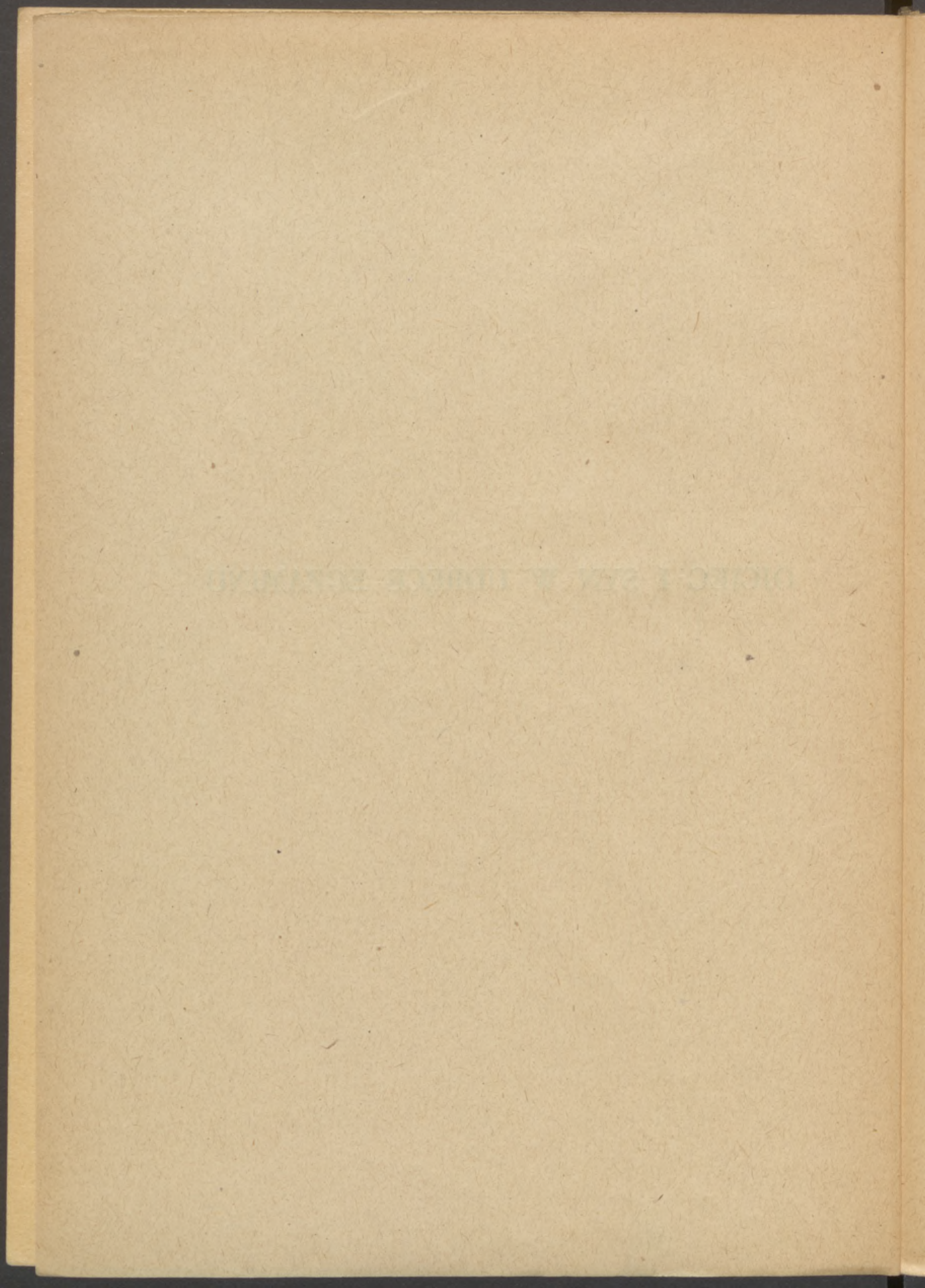
# OJCIEC i SYN W UDRĘCE EGZAMINU







# OJCIEC I SYN W UDRĘCE EGZAMINU



HENRYK FEDERER

# OJCIEC I SYN W UDRĘCE EGZAMINU

OPOWIEŚĆ SZWAJCARSKA

TŁUMACZYŁ

KS. JÓZEF WINKOWSKI



WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY
KSIĘŻA JEZUICI — KRAKÓW, KOPERNIKA 26

*Tytuł oryginału: Heinrich Federer, „Vater und Sohn im Examen".*
*G. Grote'sche Verlagsbuchhandlung — Berlin.*



PRINTED IN POLAND



ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

---

DRUKARNIA UDZIAŁOWA W KRAKOWIE. — M-36025.

## OD TŁUMACZA.

Upłynęło już kilkanaście lat od zgonu X. Henryka Federera. Na powieści jego zwrócił mi uwagę jeden z wybitnych księży profesorów uniwersytetu w Salzburgu, w czasie mego pobytu w Austrii. Wyliczając na moją prośbę kilka jego książek, twierdził, że są to utwory w katolickiej beletrystyce zupełnie nieprzeciętne. I szczerze byłem wdzięczny uczonemu Benedyktynowi za udzieloną mi informację. Jedna, druga opowieść Federera przeczytana zachwyciła mnie prawdziwie. Zapragnąłem naszych Czytelników zapoznać choćby z próbką jego twórczości, a w zamiarach mych utwierdziło mnie ponowne zetknięcie z jego piórem — tym razem na łamach poznańskiej „Kultury", gdzie znalazła się w pięknym przekładzie Zbigniewa Łada, nowela: „Pani Agnieszka".

W krótkiej, ale bardzo gorąco skreślonej notatce literackiej do owego przekładu podał tłumacz poznański kilka ciekawych szczegółów o przedwcześnie zmarłym pisarzu, którymi pozwolę sobie tutaj podzielić się z mymi Czytelnikami.

Oto mały Henryk — dziecko górali alpejskich, niestety wątłe i słabowite, marzy o kapłaństwie. Mimo wielu, wielu przeszkód osiąga swój cel upragniony.

Niestety, nie może poświęcić się całkowicie pracy w Chrystusowej winnicy, jak tego pragnie gorąco.

Niemoc fizyczna nie pozwala. Zaczyna więc pisać. I to dość późno, bo dopiero w 41 roku życia, w którym wychodzi jego pierwsza powieść „Góry i ludzie". I pisze już do końca niestrudzenie, dopiero śmierć w r. 1928 wytrąca mu pióro z ręki. Szwajcaria katolicka zowie go „drogim poetą, dobrym duchem, wielkim piewcą ojczyzny". — Zowie go — i to w bojowym znaczeniu słowa — „kapelanem katolickim współczesnej literatury".

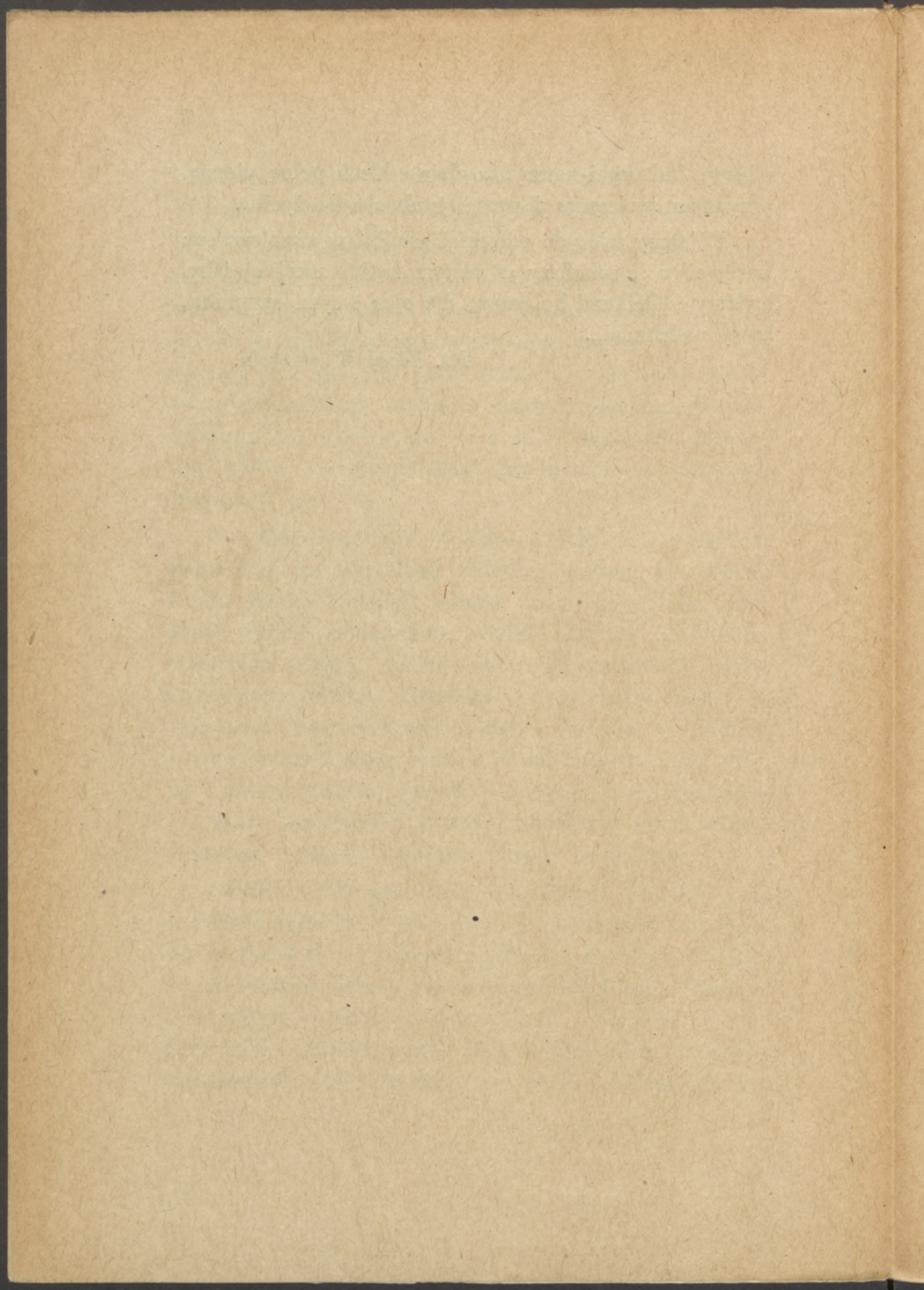
— Opowieści jego — pisze p. Ład — nie pachną papierem, ani ogryzioną okładką, pachną jak życie. Chłód źródeł górskich, zapach razowego chleba, rześkość ostrych podmuchów wiatru jest we wszystkim, cokolwiek napisał. — Jego opowieści, to historie przemiany dusz ludzkich. Jednaka w nich zawsze pręży się rozpiętość: przeciwstawienie dwóch światów — wiedza i wiara, serce i mózg, duch i litera, kultura, która dławi i natura, co daje oddech pełną piersią, komplikacje przymusu życiowego i prostota ukochania życia, więzy bogactwa i potęgi i ubóstwo darzące wolnością.

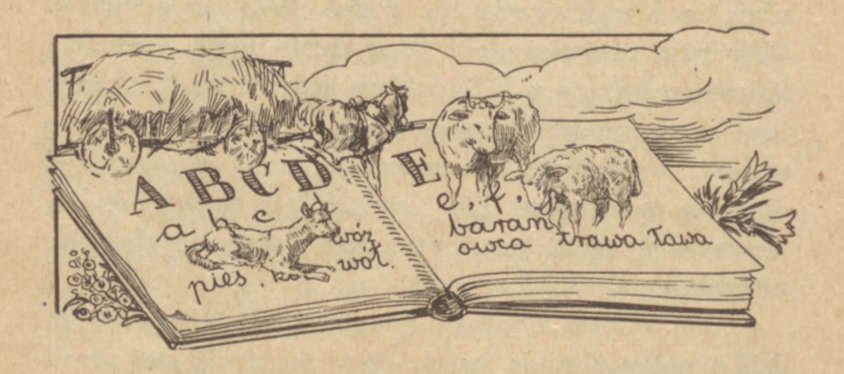
Wybrałem do przekładu opowieść pt. „Ojciec i syn w udręce egzaminu" jako, że mój nieoceniony informator wyliczył ją na jednym z pierwszych miejsc i jako, że naszemu szkolnemu światu i życiu tak bliska. Uważny i nie wątpię — zachwycony Czytelnik — wyśledzi w niej bez trudu i „zapach życia" i „przemianę dusz" i „przeciwstawienie dwóch światów" — serca i mózgu, ducha

i litery, kultury i natury, co daje oddech pełną piersią, przymusu życiowego i prostoty ukochania życia...

Pójdźmy więc do wiejskiej szkółki w szwajcarskim Lachweiler i, usiadłszy w samym kątku szkolnej izby, bądźmy świadkami bolesnego dla ojca i syna egzaminu, który nadchodzi...

*Ks. Józef Winkowski.*






Prosto i sztywnie jakoś siedzą dziś na porżniętych nożami ławkach dzieci w izbie szkolnej w Lachweiler i z jakąś pełną lęku niecierpliwością rzucają często oczami to na drzwi wiodące do klasy, to znów na stójącego przy katedrze nauczyciela.

A i on sam, pan Filip Korn, który dziś właśnie ukończył 40-ty rok swego żywota, zda się pokrytego kurzem, oklejonego papierem i atramentowych kleksów, z jakąś niespokojną, zatroskaną a uroczystą miną czeka na pojawienie się komisji egzaminacyjnej. Jakże sztywnie leżą dziś na nim spodnie, błyszczące czystością, jak wspaniale zaznacza się ostrym kantem od przodu ich zaprasowanie — rzekłbyś, że dopiero przyniesiono mu je wprost z krawieckiego magazynu. Na rękawach surduta ani śladu dziś zwykłego na łokciach wytarcia ni przeglądających

nitek, a i w krawacie nie widać zwykłych strzępów. Odświętne ubranie zdobi przepysznie biała, jedwabna krawatka, którą pan Filip wkłada jedynie na Wielkanoc i na akademię szkolną w powiecie, gdy mu przypadnie zaszczyt wygłoszenia przemowy na cześć szwajcarskiej ojczyzny pedagogów. Dziś rozwinął ją z czystej bibułki, ale zaraz po egzaminach wróci tam znowu, zapakowana pieczołowicie ręką jego żony.

Ona to, pani Monika Korn najtroskliwiej wyczyściła dziś szczotką ubranie męża. Oto w tej chwili stoi przed nami świeży i promienny, jak człowiek, który dopiero co wyszedł z ręki Stwórcy.

Skąpe, ciemne włosy rozdzielił środkiem nad swym wysokim, białym czołem i troskliwie zaczesał na miejsca dobrze już świecące łysiną. Niegdyś zdobiła go bujna czupryna, lecz cierpiąc często na ból głowy, przyzwyczaił się do ciągłego rozgarniania wszystkimi palcami, a nawet wyrywania włosów, zwłaszcza, gdy mu przychodziło ślęczeć nad zeszytami uczniów i co krok potykać się o ich błędy. Cóż dziwnego, że powoli tak przerzedła gęstwina na jego głowie.

Twarz blada, pociągła... Zawsze wilgotne, jasnopiwne oczy, dobrze już osłabłe zdają się szukać w dużych okularach ochrony przed naporem rzeczywistości...

Grube, niby z wosku ulepione uszy, odstają gdzieś daleko od czaszki, a biały nos rysuje się krótkim, lecz wyrazistym trójkątem na środku fizjognomii. Mimo ciężkich, mięsistych warg, usta ładne i kształtne, w samych kątach zwężone i ostre, jak to bywa u profesorów i aktorów, a czasem i księży, wskutek dokładnej, pełnej nacisku wymowy...

Gdy Filip był jeszcze kandydatem stanu nauczycielskiego, wszystko mu się wiodło przedziwnie... Wzrostem strzelał w górę, jak kłos na polu, szyją wychylał się odważnie z objęć wysokiego kołnierza, iście absalonowa gęstwa włosów piętrzyła mu się nad czołem...

W jednym tylko ani rusz mu się jakoś poszczęścić nie mogło... Nad ustami, na lekarstwo nie znalazłbyś ani śladu wąsów, tej dumnej oznaki mężczyzny, tego świadectwa dzielnego rycerskiego ducha.

Odbierało mu to całą radość życia, bo pan Filip z natury był niesłychanie czuły i jak kobieta wrażliwy... Gdy w swym seminarium nauczycielskim patrzył na tylu kolegów, nad którymi wzrostem, jak król Saul nad Izraelitami o głowę górował, a którzy — niemal wszyscy już — cieszyli się maleńkim, ciemnym, ale przecież dostrzegalnym obłoczkiem sypiących się pod nosem wąsów, nieustannie pocieszał się, jak mógł, nadzieją... Bo w ogóle Filip był nieugiętym w nadziei... Więc też co dzień badał się w małym, kieszonkowym lusterku...

Jako ów rolnik, gdzieś tam w północnym kraju, co ziarno swe wysiał na roli i złożył w nim całą swą nadzieję, iż oto czasu żniwa ciężkie wory pszenicy powiezie do miasta i zdobytym groszem odwróci od swej ojcowizny grożącą zmorę egzekucji...

Jako ów rolnik, co to każdej niedzieli z dobrą i zacną swą połowicą idzie na miedzę i pochylony nad rolą ogląda, czy też nie dojrzy pierwszej delikatnej runi wschodzących, choćby z jednego jedynego ziarenka listeczków...

Tak młody kandydat stanu nauczycielskiego z troską i lękiem wyglądał nad swą górną wargą pierwszego wło-

seczka — niechybnej, acz tak niepozornej oznaki swej męskości...

Ach! Bo jeśli ta odrobina nie zjawi się tam jak najprędzej, przepadnie cała jego powaga w gronie kolegów... Zagrozi mu moralna egzekucja... Czyż to bowiem w seminarium nie wyznają wszyscy uczniowie starej zasady: „Warkocz niewiastę — wąs zaś męża stanowi, a wszystko, co się plącze pośrodku — to błazny albo dzieci"??

Nareszcie!

Nareszcie kiedyś zamajaczył jakiś cień pod nosem Filipa... Włoseczek jeden... drugi... Rosło to powolutku, nieśmiałe i takie jakieś chuderlawe... poprzerywane łysinkami, jak w przetrzebionym lesie — ale przecież rosło! No — a jak się wszystko razem skrupułatnie dodało i zliczyło — to można było stwierdzić, że aż całe 23 włoski złożyły się na te Filipowe wąsiska!

I od tego czasu poczęło mu się całkiem inaczej powodzić na świecie.

Dzięki swej zdumiewającej, wrażliwej pamięci i jeszcze bardziej sumiennej pilności — zdał celująco maturę i oto mała, spokojna alpejska gmina Lachweiler powołała świeżo upieczonego pedagoga do swej szkoły.

Miłe mieszkanko w szkolnym budynku — (byłoby nieco milsze, gdyby tak piec w zimie zdecydował się nie zwracać izbie całej woni dymu, i... gdyby ramy okienne raczyły się lepiej domykać... i gdyby znów w lecie, setki pcheł zechciały okazać mieszkańcom choć odrobinę więcej uprzejmości...) — otóż to mieszkanko stało się siedzibą jego odtąd.

Wkrótce też w osobie zacnej i praktycznej wielce panny Moniki Ewy Robbe znalazł małżonkę, która nie tylko w jego dotąd niespokojnym sercu, ale także w całym mieszkaniu zawalonym stosami papierów, rączek, ołówków i kołnierzyków zdołała zaprowadzić niejaki porządek.

Z tego to małżeństwa przyszedł na świat chłopczyna, imieniem Wacław, któremu pan nauczyciel już w trzecim roku życia pokazywał, jak się bierze rysik do ręki, i który — w 4-tym — zdołał już cały tuzin tabliczek porozbijać na drobne kawałki. Toteż Filip przepowiadał swemu synowi nadzwyczajną przyszłość. Wacek miał być po prostu, drugim Salomonem.

I nawet niepodobna, by miało być inaczej.

Nie jakiś tam zwykły nauczyciel ludowy miał się w nim światu objawić.

O nie!

Jego syn będzie mistrzem całych miast... nawet krajów... profesorem uniwersytetu! A jakże!

U jego stóp zasiędą dzieci królewskie i przyszli mężowie stanu... On rok w rok wydawać będzie coraz to nowe książki, które z posad ruszą ziemię...

Takim to cudownym dzieckiem zostanie jego Wacek.

A ojciec?

Ach, wtedy gotów będzie w tej wsi na zawsze już pozostać przy swych półdzikich chłopakach i cierpliwie wkuwać z nimi nadal tabliczki mnożenia i uczyć ich abecadła — pełen radości, że ze słońca sławy jego wielkiego syna jakiś mały, ciepły promyczek dotrze do tego kąta i spocznie na jego kornie pochylonej głowie...

I cała poczciwa wieś dzieliła jego nadzieje. Ten zgrabny, miły „chłopak od nauczyciela“ — mówiono — na pewno będzie uczonym! Przecież ma tyle książek i atramentu w domu! A ojciec — wiadomo — potąd go będzie tresował i ćwiczył, aż wszystkich lekcyj nauczy się dosłownie na pamięć od początku do końca i z powrotem. Chłopi z Lachweiler nie mogli nawet na chwilę pomyśleć, by dziecko ojca, którego przecież nikt we wsi nie widział bez pióra nad uchem lub książki pod pachą, nie musiało już z konieczności być czymś innym, jak wielkim uczonym.

Ach, ten kochany Wacek!

Jakże modre miał oczka, niby nowonarodzony aniołek... Jak wesoło sterczał mu na środku twarzy zadzierżysty nosek, wiecznie umorusany, to resztką szpinaku z obiadu, to znów malinową konfiturką z podwieczorku.

Zdrów był i zawsze pełen radości, jak strumyk szemrzący poprzez szkolną łączkę. Gdy śmiał się — a śmiech nie odstępował go ani na chwilę, dwa rzędy dużych, szerokich, białych jak cukier ząbków błyskały mu w ustach... Policzki czerwone jak czereśnie, a krągłe i pełne, jakby je stale wiatr wydymał... Włoski jasne jak len, twarde, wiecznie zmierzwione... Darmo matka chciała je uspokoić, ułożyć, kropiąc oliwą i mlekiem... Czoło — może nieco za niskie, jak ojcowskie znów zdawało się zbyt wysokie... Ale to czółko błyszczało stale radością, rzekłbyś, iż słonko na zawsze zatrzymywało na nim swe promienie.

Bo Wacek był dzieckiem słońca. Dyszał wprost radością. Nie umiał chodzić. On zawsze podskakiwał —

nie mówił, lecz śpiewał, a życie wydawało mu się jednym, wesołym żartem...

Gdy rysik łamał na kawałki i wytrzymałości drewnianej tabliczki zębami próbował, zamiast porządnie



Na dużym, drewnianym globusie ojca walił zamaszyste linie geograficzne...

kreślić A czy B, albo, gdy znów na dużym, drewnianym globusie ojca walił zamaszyste linie geograficzne i jakieś niepojęte szlaki odkrywcze, to znów pociągnięciem rysika odcinał północną Amerykę od południowej — ojciec Filip z niezadowoleniem potrząsał głową... Wnet jednak pocieszał się, wspomniawszy, że nie było

na świecie geniusza, co by nie szalał za lat młodych... Przecież to były u Wacka tylko cielęce lata... Prawda! Tylko ograniczeni chłopcy przechodzą je późno, tak zdolni, jak Wacek, bardzo wcześnie. Zresztą — poczekajcie tylko — myślał sobie w duszy — niechno on raz zacznie chodzić do szkoły! Klękajcie narody, czego wtedy nie dokaże...

Dziś Wacek pierwszy w swym życiu rok szkolny miał już poza sobą.

I oto siedzi w tej chwili na ławce, na samym przedzie klasy i, jak wszystkie dzieci, czeka na rozpoczęcie egzaminu.

Ale podczas, gdy jego koledzy i koleżanki stroją poważne miny w głębokim poczuciu, iż oto zbliża się straszna godzina, w której — jak mówi Pismo św. — będą zważeni i znalezieni zbyt lekko ważący, synek nauczyciela tak rozkosznie wierci się i kręci na swym siedzeniu, tak beztrosko składa swe drobne rączki i tak się śmieje modrymi oczyma, patrząc to na czarną tablicę, to na długie wzory rachunkowe przybite na ścianie, jakby z nimi oddawna żył w najlepszej przyjaźni.

A przecież tyle od nich wycierpiał w długich miesiącach kończącego się dziś roku szkolnego!

Bo Wacek jedyną swą radość i przyjemność znajdował zawsze na pastwisku, przy pięknych, czerwonych krowach sąsiada Marcina, przy długowłosych, figlarnych kozach gazdy Maiwela, to znów na ogromnym, pełnym siana wozie, ciągniętym przez parę wołów bogacza Karcza, poganianych strzelaniem z długiego, giętkiego biczyska, co dalekim echem odbijało się gdzieś w świeżym,

rannym powietrzu. Och, z jakąż uciechą spędzał długie godziny na rozłożystych łąkach, pilnując krów, z ulubionym kolegą Tadkiem od Maiwela... Ciągnęły się one z dala od wioski, ale przecież ponad sadami drzew owocowych widać z nich było piękny hełm wieży kościelnej i szczyty dwóch zagród chłopskich i dymy bijące w górę z kominów na odwieczerz... A już za wielkie szczęście miał sobie Wacek, że z tych pastwisk jakoś nie był widoczny jego budynek szkolny...

A jak doskonała cisza rozłożyła się po zielonej runi... Nie dosłuchałbyś się w niej niczego, prócz samotności, co cichutka, bosa, w misternej, rozwianej lekko szacie, z palcem na ustach zdała się płynąć, jak cichy obłok nad nimi.

Czasem zdawało się chłopcu, że z dala dochodzą go jakieś przedziwne szmery i szepty... A przecież ani jedna trawka nie drgnęła na wietrze... i tylko białe chmurki nieruchomo tkwiły hen w górze, na błękitach...

A przecie... Jakby poszum dalekiego powiewu, czy tupot gdzieś idących ludzi dochodził go wyraźnie... Byłże to tajemny odgłos „szerokiego świata", o którym we wsi mówiono z szacunkiem, może nawet z lękiem ukrytym...?

I znowu w chwilę potem, choć owa dal zamilkła i samotność przestała snuć się z swym nieuchwytnym szeptem, chłopczyna nie odczuwał ciszy, co usypia... O nie! Wszak słyszał wyraźnie, całkiem wyraźnie bicie własnego serca, krążenie krwi młodej w żyłach, słyszał, jak jego myśli, marzenia cichym, motylim lotem krążą mu koło jasnej głowiny...

Miał bowiem Wacek potężną moc wyobraźni, sub-

2



telne ucho, którym wyczuwał każde drgnienie zewnątrz, lecz i wewnątrz siebie — i lubił dużo, dużo myśleć...

Gdy tylko z swym Tadkiem rozłożył się na wznak na murawie i śledził muszkę krążącą mu koło nosa, to znów chmury, co jak olbrzymie motyle to tu, to tam płynęły cicho po lazurach... czasem tak zagadkowo, tak bez celu — wtedy przestawał myśleć — patrzył tylko i patrzył i co najwyżej szepnął do towarzysza tuż obok:

— Czy ty też widzisz??

— No co? — Chmura!

— Hm... — To ci głupi — całkiem cicho i tylko do siebie mamrotał Wacek, ledwo poruszając wargami...

I już znowu zapadał w marzenia...

...Przecież to nie chmura... Jemu się widziało jakieś miasto ogromne — z wieżami... ostrymi dachami domów, krytymi niby pozłotą... A tam znowu... O! Jaki dziwaczny las... gałęzie drzew, niby ludzkie ramiona w górę wzniesione... O... znowu jakiś olbrzymi zwierz, ani podobny do zwierząt na ziemi, choć z każdego po trochu mający...

Bardzo podejrzliwie słuchał mistrz Filip o tych chmurnych marzeniach dziecka. Trzeźwy, suchy człowiek, wiecznie wpatrzony w czarne litery, nie mógł pojąć, zrozumieć tych gnuśnych, lenistwa, jak mówił, pełnych zwidzeń dziecięcych...

A temu, co się działo z Wackiem, sam tylko przecież był winien.

Nigdy nie dał dziecku jakiejś zabawki do ręki... koników z drzewa czy owieczek... Pod wigilijnym drzewkiem leżały dlań corocznie tylko mapy, tylko książki z łamigłówkami dla dzieci, pudełka pełne rysików

i piór... W jakiejże tajemnicy musiała matka ukrywać w ostatniej szufladzie komody mały podarek od Tadka... wyrzezanego niezgrabnie z lipowej deski konika, z ułamaną w dodatku nad kolanem nogą. Mógł się nim Wacek wtedy tylko trochę pobawić, gdy ojca w domu nie było. I trudno powiedzieć, jak bardzo się cieszył malec na tę chwilę, jak jej wyglądał, by móc okiełzać rumaka, spróbować na nim galopa, czy kłusa...

Niestety, gdy zaczęła się szkoła, trzeba było zerwać bezlitośnie i z tą starannie ukrywaną i tak rzadką rozrywką. Teraz już od roku siedziało chłopczysko dzień w dzień przed południem i po południu w swej pierwszej ławie i musiało się mozolnie uczyć czytać, pisać i rachować.

A tu tymczasem krowy gromadą ciągnęły na jego pastwisko... Igrały w uliczce kozy Maiwelowe, idąc na szerokie, zielone błonia; Wawrzek, parobek jechał wołami na górę do lasu, to znów wiózł stamtąd świeżo ścięte, odarte już z kory pnie jodłowe... A małego Wacka, żywego jak iskra, nie było już tam, nie było! Och! co za rozpacz!

Łatwo też pojąć, że chłopiec na swój sposób starał się zastąpić sobie wszystko, czego był teraz pozbawiony, co mu okrutnie wydarto. Więc zamiast małych i dużych litèr kreślił na swej tabliczce owce i krowy, którym na przekór rzeczywistości przydawał aż po cztery rogi. Bo i czemuż nie pozwolili mu zostać dalej przy tych kochanych krowach z rogami, przy tych powolnych, wiernych, miłych przyjaciółkach od dzieciństwa??

A znów w zeszycie „na czysto“ rysował kozy i szkopy... Co parę wierszy z białej karty wychylał się brodaty

łeb koźli albo bujny ogon barani. A przecież na tych niebieskich liniach wolno było stać prosto, w surowym porządku tylko szeregom liter i cyfr — od 1 do 10! Tak!

Nauczyciel ukarał syna i Wacek przestał smarować kozy i owce po zeszycie. Prędko jednak oczy jego skłonne do imaginacji wglądnęły głębiej w kształt liter i badać poczęły, czy też w nich przypadkiem nie kryje się przecież jakieś podobieństwo do ulubionych zwierzątek.

I rzeczywiście — bardzo prędko dopatrzył się w ich zadrukowanych stronicach swej czytanki.

Cóż to za wspaniałe było spotkanie!

O — to — t — na przykład... Oczywiście, jak koza z dwoma ostrymi rogami... A ładnie zaokrąglone — n — albo — m — czyż to nie owce z wełnistym grzbietem u góry??

A jakżeż duże! — Y — podobne było do wideł, którymi tak często podawał suchutkie siano na kopy... No a te grabie — T... — kosa — F... — sierp — S... — kobylica do rżnięcia drzewa w lesie — X.

Przecież duże — W — to wóz po sam szczyt wyładowany snopami... — O — to całkiem jak wół, a — Q — to krowa o mięsistych, mlecznych wymionach...

Ale znów to — K — z ostro naprzód kroczącą nogą — to przecież nic innego, jak gniadosz doktora Nochala. Z pewnością! Tylko on!

Takie stworzywszy sobie abecadło, wyczytywał już Wacek z każdej strony elementarza wspaniałe, długie historie, pełne trzód i pastwisk, szałasów i pasterzy, historie słodkie, jak chłodne mleko, a świeże jak ruń

szmaragdowa, krzepkie, jak woły włochate, a potulne jako jagnięta... Całą swą wieś ukochaną, cały swój świat przelewał w te niepojęte opowiadania...

Ale ojciec-nauczyciel żadną miarą nie chciał przystać na taką naukę czytania.

Prosił, groził, grzmiał, łajał i walił.

Daremnie.

Wacek nie chciał za nic w inny sposób pojąć sztuki czytania. Z ogromnym stękaniem, zacinając się co chwilę, zdołał wreszcie do końca roku z lekka sylabizować poszczególne słowa. Ale i przy tym jeszcze nieustannie myliło mu się U i W, to znów E i F, a 6 zamieniał z 9 i 3 brał zawsze za 5.

Nauczyciel począł więc swemu chłopcu udzielać dodatkowych lekcyj po południu. Zamęczał biedne dziecko i siebie. Płakał razem z nim, a klapsy, którymi trzaskał po małych, drżących ze strachu rączkach, bolały wrażliwego człowieka przynajmniej tak samo jak chłopca.

Wreszcie po godzinie męki Wacek odpowiedział mu tak, jak tego pragnął. Ale po dwóch godzinach znów wszystko było na odwrót.

Filip był bliski rozpaczy.

Wszystkie niemal dzieci w klasie, z wyjątkiem kilku niepoprawnych leniów, czytały i pisały już całkiem dzielnie. Ale — przyznawał — nawet te nieszczęsne próżniaki potrafiły rachować przynajmniej do 100 i czytać bez jąkania ustępy z trzech pierwszych stron podręcznika.

A Wacek??

Boże Drogi! Nawet do 20-tu nigdy się nie doliczył, a przy czytaniu utykał odrazu na pierwszych słowach,

tam właśnie, gdzie przychodziło odczytać duże G — naprawdę takie duże, grube, bezwstydne G, które dzieciak zawsze wyobrażał sobie w postaci wysokiego i grubego gazdy Głowacza, co to mieszkał tam w górze, nad wioską... I jak przy nim raz stanął, stękał coś i dukał niezrozumiale i ani rusz dalej... W końcu wpadał w nieprzejednane milczenie.

Oh! Gdyby go tylko nikt nie pytał, lecz jak w tej chwili właśnie przed egzaminem, zostawił w spokoju w jego ławce. Wtedy byłby całkiem, ale to całkiem zadowolony. Gdy taki szczęśliwy moment się zdarzył, Wacek ukradkiem zerkał przez okno, hen, na zielone dalekie łąki, na szerokie pola... Patrzył coraz śmielej... Zboże wyszło już wysoko, strzeliło w cienkie źdźbła falujące pod wiatrem... Ale trawa jakoś w tym roku nie dość wyrosła, jak na późną już wiosnę... Kozioróg już przekwitnął... za to lwie pyszczki pałały złotym blaskiem wśród zielonej darni, a tam, po drugiej stronie nad strumieniem z pewnością pokazały się modre niezapominajki... Czereśnie stały w pełni kwiecia... Dwie tylko barwy było widać w sadach... puszystą biel kwiatów i szarzyznę gałęzi... Przeto grusze a nawet jabłonie już mu się więcej podobały... Bo u tych z pomiędzy gałązek wysuwa się wszędzie zielone listkowie... To by już były trzy kolory...

Do końca kwietnia — rachował sobie Wacek przez okno — to i na te jabłonie przyjdzie kolej... One dodadzą swoją czerwień, delikatną i słodką i już będą w sadzie cztery barwy...

A potem dalej zobaczył przez okno sąsiada Borowego, właśnie ojca swej małej, milutkiej koleżanki Frani (siedziała zaraz za nim w następnej ławce). Patrzył więc

uważnie, jak Berner orze... Do pługa zaprzągł szkapinę i krowę, trochę ociężałą... Przez sam środek łąki znaczył się wyraźnie pas zoranej roli, jak długi, brunatny szal aksamitny, rzucony na murawę... Ślicznie wyglądały te świeże bruzdy, takie proste, wyrwane z ziemi przez błyszczące żelazo... Biegły prosto, bardziej prosto, niż te linie na kartkach jego szkolnego zeszytu. Gdy pług choćby odrobinę zboczył, Wacek dostrzegał to natychmiast i całkiem dokładnie. Jego małe nóżki dygotały wówczas niecierpliwie pod ławką, główina trzęsła się gniewnie, a on sam całym ciałem pochylał się na lewo, jakby chciał wołać:

— Uważajcie przecie, Berner! Pług bardziej w lewo! Wjedziecie na te śliwy!!

— Powiedz no mi, Wacław Korn — rzucił nauczyciel w tejże chwili groźne pytanie — w którą stronę pisze się litery bardziej pochyło — ku prawej, czy ku lewej? — Bo właśnie skończył objaśniać dzieciom, że pisać należy nieco ukośnie, pochylając litery ku prawej stronie.

— Bardziej na lewo! — niemal gniewnym krzykiem odpowiedział Wacek, całkowicie pochłonięty niedołęstwem parobka... Bo przed chwileczką właśnie dojrzał, że to nie sam gospodarz Berner, lecz służący Fryc orał na polu. I bardzo się chłopak ucieszył tym odkryciem ze względu na przyjaźń z małą Franią.

— Bardziej na lewo! — raz jeszcze powtórzył z pełnym oburzeniem.

W tej samej chwili niepowstrzymany śmiech przeszedł przez całą klasę... Wszyscy się zaśmiewali z Wacka... Oczywiście oprócz Frani i pana nauczyciela.

Z głębokim smutkiem wezwał pan Filip swego jedynaka do katedry i równocześnie całą szerokością swej dłoni przeciągnął po długim, leszczynowym pręcie...



— Dawaj rękę!

— Dawaj rękę!

Wacek wyciągnął powoli swoją małą, siedmioletnią, tak jeszcze miękką dłoń z rękawa, w który ją mimowolnie schował na głos ojca.

— Bardziej na prawo, czy na lewo? — nastawał nauczyciel, cedząc dobitnie każdą sylabę, by małemu grzesznikowi raz jeszcze zostawić furtkę litościwie otwartą ku nawróceniu.

— Bardziej na lewo! — z całą siłą przekonania odpowiedział Wacek. No — przecież nie mógł skłamać.

W tej samej chwili leszczyna runęła w dół.

Och, jak to piecze!

Rózgą brać od nauczyciela — to się wie — okropnie boli. Ale rózgą od własnego ojca — boli jeszcze okropniej. A już najbardziej bolało Wacka to, że go spotykała krzywda. Był przecież niewinny! Bo ten szkaradny Fryc naprawdę za daleko w prawo zajechał ziemię.

I takie kawałki, raz wesołe, to znowu smutne, częściej zdarzały się mu w szkole przed owym wielkanocnym egzaminem...

Gdy wczoraj wieczór ustalał nauczyciel postępy uczniów, by je po skończonym egzaminie, jak to nakazywał pra-stary zwyczaj w Lachweiler, publicznie odczytać ku chwale pilnych i hańbie leniwców, zadrżał z przerażenia nad ciężkimi, grubymi cyframi, które musiał wyrachować swemu ukochanemu dziecku.

Ach! Jakże wspaniale błyszczały jedynki u synka doktora, czy pisarza gminnego, czy znów u córki szwaczki wiejskiej i u małej Frani! Bił z nich jasny blask cnót wszelakich. Zjawiały się one w oczach nauczyciela białe, jak kreda — bo trudno mu było sobie coś od niej bielszego wyobrazić. I jeszcze dwójki wyglądały wcale znośnie i tak jakoś poczciwie, koło trójek snuł się już cień nieudolności, — no a czwórka była właściwie nie do po-

myślenia. Ale piątka! Piątka — to już była czarna, jak sam atrament, jak wiekuiste potępienie...

I oto przez dobrą chwilę próbował pan Filip wszystkich sztuk arytmetyki. Darmo! Chłopiec jego był nie do uratowania. Mógł więc dodawać z góry na dół i z dołu do góry, zawsze nieubłaganie wypadała mu piątka. Przez małą chwilę odczuł wyraźną pokusę, by tę straszną cyfrę nieco złagodzić i przemienić na czwórkę. Ale przed tym wzbraniały się nawet same cyfry! Tak przecież były do siebie niepodobne! Bez zadania wyraźnego gwałtu nie pozwalała się piątka przekształcić na czwórkę. Widać, że z natury już były sobie wrogie. I jakże uczciwy nauczyciel mógł je pogodzić! A nawet — gdyby nawet te cyfry dało się jakoś przekręcić, czyż dałoby się przekręcić jego nieugięte poczucie sprawiedliwości? W pełnym blasku swej lampy wypisał więc dużą piątkę przy nazwisku syna i potem z bólu złamał przeklęte pióro. Rzucił je daleko w kąt, jakby ono było winne całemu nieszczęściu. Po chwili jednak wstał, podniósł je z podłogi, na paznokciu palca sprostował skrzywione końce stalówki i westchnął głęboko. Zdawać by się mogło, że wzdychał nad złamanym i już bezużytecznym piórem. Naprawdę jednak myślał o czymś innym, o czymś, co stawało w tej chwili przed nim także złamane i bezużyteczne. Tylko, że tego „coś" jeszcze nie umiał sobie dokładnie określić. I dlatego właśnie wzdychał tak ciężko, tak głęboko i tak bardzo boleśnie.

— Moniu! Chodźmy spać — odezwał się do żony, wchodząc do jej małej izdebki.

Pani Monika odczuła odrazu, że mąż ma jakieś zmartwienie. Nie zdradziła się z tym jednak, wolała

wyczekać, aż od niego samego dowie się, co mu dolega. Wtedy bowiem dopiero będzie jej wiadomym, jak się ma zachować... Czy zbyć wszystko uśmiechem, czy może przyganą, czy wreszcie serdecznym, współczującym słowem. Była to przecież niewiasta bardzo roztropna, ba, nawet przebiegła jak kotka, ale przecież przymiotu tego zawsze używała tylko dla dobra bliźnich. Więc i teraz w milczeniu usunęła z swego czoła zielony daszek, jakim chroniła oczy od rażącego światła lampy i pytającym wzrokiem spojrzała w stronę męża.

— Jutro egzamin — ciągnął dalej Filip ponurym głosem — a Wacek ma dwóję!

— Bóg z nim! — odrzekła matka i spokojnie poczęła zwijać pończochę, którą właśnie skończyła robić dla swego długonogiego małżonka.

— Ależ Moniu! Jak możesz mówić tak spokojnie — porywczo zawołał nauczyciel, głosem, w którym drżała cała gorycz jego serca. — To mi rujnuje całą radość na myśl o sukcesach egzaminu i w ogóle na zawsze...

Teraz przyszła dla niej chwila działania. Mocnym wzrokiem spojrzała przez swe okulary w jego oczy, w same źrenice i rzuciła spokojne pytanie:

— Filku! Czyż jesteś nauczycielem tylko naszego Wacka? Ja myślę, że masz chyba jeszcze innych uczniów. — No, a teraz chodź spać.

I jak dziecko zaprowadziła go do sypialni. Filip milczał, nie znalazł ani słowa w odpowiedzi.

Ale, gdy przechodzili przez pokoik Wacka na palcach, by nie zbudzić śpiącego dziecka, pani Monika szepnęła do męża:

— Posłuchaj na chwilkę!

Przystanęli oboje i wytężyli uszy, jakby mieli usłyszeć jakąś cudną pieśń. W najzupełniejszej ciszy nocnej nie było słychać najmniejszego szmeru prócz delika-



— Spojrzyj — szepnęła.

tnych, regularnych i tak pełnych jakiegoś nieskończonego zadowolenia oddechów dziecka.

— Spojrzyj — szepnęła znowu i podniosła w górę świecę.

I oboje ujrzeli rumiane policzki synka, wciśnięte w dużą, dobrze wypchaną poduszkę. Śpiący malec jedną rączkę opuścił w dół na kołdrze, drugą równo i spokojnie ułożył na koszulce, lecz widać było, jak przy tym delikatnie poruszał samymi koniuszkami palców. Małe usta zostawił lekko rozwarte tak, że z poza warg bieliły się piękne, szerokie ząbki. Oczy jednak miał mocno zamknięte w tak głębokim śnie, na jaki stać chyba tylko 7-letnie dziecko. Na jego jasnym obliczu malował się spokój, z którym trudno byłoby coś porównać... Zdało się, że mały śni słodko o tym, jak mile leży mu się w wonnej koniczynie, wśród białych, długowłosych zajączków, skaczących wesoło koło niego; jak z pobliskiego pagórka coś dużego, bieluchnego spogląda ku niemu — może to chmurka na niebie, może czereśnia bielą kwiatów osnuta... idzie z niej ku niemu jakaś upajająca woń i ciche brzęczenie pszczół niezliczonych...

Pani Monika nie rzekła już ani pół słowa. Wszak w jej prostej i zdrowej duszy najzupełniej w jedno zlewał się widok tego rosłego, radosnego malca z uczuciem pełnego szczęścia, że takim właśnie jest, a nie innym.

Ale i zacny pan Filip czuł mimo woli, że ten silny chłopak, dla którego to łóżeczko już wkrótce okaże się za krótkim, potrafi doskonale unieść grożącą mu dwóję, ba, nawet cały tuzin takich dwój i nawet nie zachwieje się pod ich ciężarem. Ani też z tego powodu w południe ni o jedną łyżkę nie zmniejszy swej poważnej porcji tak ulubionej zacierki...

* * *

Jakże wesoło siedział sobie teraz ten nasz szkolny mędrzec w pierwszej ławie na samym przodzie klasy. Raz po raz z całą ciekawością zerkał ku drzwiom wchodowym, w których już, już ukazać się mieli: szanowny przewodniczący lachweilerskiej rady szkolnej, wójt, ksiądz proboszcz i ksiądz wikary, radni gminni i wreszcie wielu ojców i matek, przychodzących tu, aby uraczyć się mądrością swych dzieci. Wacek czekał na to wszystko, jak na jakieś, niezbyt zresztą długie przedstawienie. Nie mógł tego pojąć, że tuż obok niego, z lewa mały Frycek Meier z całą gorliwością raz jeszcze odczytywał zadaną lekcję, że znów Jasiek Taler, siedzący tuż za nim (widział go, ile razy w tył odwrócił głowę) wiecznie pocące się ręce ciągle wycierał o spodnie na kolanach. A całkiem znów z tyłu za nim, malutka Marysia szeptała do akurat tak samo małej Tereski: Pamiętaj, trzymaj tylko rękę przed samymi ustami, to już potem spokojnie nawet dość głośno możesz mi podpowiedzieć, jakbym czegoś nie wiedziała... I wiesz, ta torebka, z czerwonym sznureczkiem — ja ci ją potem daruję... Tylko pamiętaj!...

— I po co się oni tak kłopoczą? — myślał sobie nasz Wacek.

— Czemu się pocą i ciągle coś do siebie szeptają?...

— Co im z tego przyjdzie, czy coś tam wiedzą, czy nie?...

— Jego ojciec wie przecież wszystko, wszystko, co tylko jest na świecie... No tak... To prawda... A czy ojciec na przykład potrafi wydoić krowę? No, a choćby nawet tylko kozę? A on, Wacek, to doi nawet tę upartą kozę u gazdy Berga, co się często nawet samemu pasterzowi nie uda... Ona tak często kopie i usuwa się gwałtownie...

Ale jak się on, Wacek, do niej zabierze, to stoi tak cierpliwie i cicho... i jeszcze pysk do niego obraca, by mu polizać radośnie ramiona czy plecy... O! z tego, to jest naprawdę dumny!

— No, a ci panowie z rady?... Czy oni to wiedzą wszystko? Przecież pan Marek Megerle... wiadoma rzecz, nawet porządnie czytać nie umie... Jak przyjdzie do kościoła, to tylko na Wielkanoc i na Zielone Świątki przynosi z sobą książkę do nabożeństwa, no ale cóż?... Trzyma ją do góry nogami tak, że litery z niej patrzą gdzieś do nieba... On to tak robi, jakby chciał powiedzieć: „Panie Boże, ja ta sam tych liter nie przeczytam — więc odwracam książkę do Twoich mądrych aniołów w niebie, żeby Ci za mnie wszystko dokumentnie wyczytali..."

— Przecież on — Wacek to już przynajmniej tyle wie, jak trzeba książkę trzymać, by na niej czytać. Każdą książkę, czy dużą, czy małą, bierze przecież do ręki tak, jak trzeba; jakby kto jedno tylko „t" napisał do góry nogami, toby zaraz narobił krzyku... Bo czy kto widział, żeby mądra koza stawała na rogach i tak sobie chodziła po łące?...

— A ten przewodniczący od rady szkolnej — filozofował dalej Wacek — to już przecież ci pierwszacy wszyscy doskonale wiedzą, że tylko dodawać umie, a już o odejmowaniu, czy mnożeniu nie ma pojęcia. I także ten bogaty gazda z roli Schlehowej, co mu to na imię Ott, choć potrafi tylko dwie litery swego nazwiska nagryzmolić, wielkie „O" i małe „t". A jakby mu kto kazał napisać duże „t" a małe „O", to jużby nie potrafił. A przecież kiedyś na związku chłopów tak się przechwalał i walił grubą pięścią w stół, aż wszystkie kufle

dźwięczały: „Ja tam przez moje dwie litery wyszedłem aż na prezesa kościelnego komitetu! Ho-ho!“

— No, jak się tacy panowie rajcy nic nie boją egzaminu, to czemużby się miały bać dzieci, chłopcy i dziewczęta, które już tak dużo umieją...

— A cóżby się miał bać Wacek, co przecież zna dobrze całe abecadło, tylko, że on tam już daleko ładniej te wszystkie litery ponazywał i już nie widzi w nich martwych znaków, lecz jakby żywy świat z ludźmi i zwierzętami, z oczami, nosami i uszami... Widzi w nich wyraźnie twarze ludzkie, to roześmiane, to znowu płaczące, zależy, jak wypadnie... Nie, nie — kto, jak kto, ale on Wacek nie ma się czego bać na tym egzaminie!...

Wreszcie otwierają się drzwi, wchodzą dwaj członkowie rady szkolnej i ściskają mocno rękę nauczycielowi. Odświętne ich ubrania tchną jakąś sztywną godnością. Ich spalone od słońca i mocno włosami pokryte ręce zalatują wyraźnie wonią stajni. Tłumią ją jednak skutecznie goździkowe perfumy, którymi cne małżonki dobrze w domu zlały ich długie, nieco fałdziste surduty. Obaj umieszczają się w jednym z rogów sali i stamtąd z przyjaznym uśmiechem przypatrują się dzieciom. A w duchu składają sobie serdeczne życzenia, że za ich lat młodych nikt jeszcze nie wiedział o takich surowych szkołach i ciasnych ławkach i tylu męczennikach w zdobywaniu wiedzy. Patrząc po ławach, to tu, to tam, przyjaźnie kiwają głową, gdy dostrzegą w nich jakąś dziewczynkę, której matka, na przykład, chodzi do nich prasować bieliznę, albo znów bardzo łaskawie i wyrozumiale zdają się nie dostrzegać chłopaka, który ostatniej jesieni

ośmielił się im otrząsać jedyne drzewko morelowe na przydrożnej szkarpie... Ha, ten łobuz!...

Ale oto znowu ktoś puka. I w tej samej chwili, nie czekając na odpowiedź, rozwala na oścież drzwi prze-



Rozpoczęto więc egzamin.

wodniczący rady szkolnej, potężny, barczysty mężczyzna. Utyka on trochę na lewą nogę... To ten, co nie umie mnożyć. Ta lewa noga jednak w rzeczywistości bynajmniej nie jest krótsza... Pan prezes kuleje lekko raczej

ze względu na dzisiejszą uroczystość, by, że tak powiemy, dodać sobie przez to więcej powagi. Powoli zagłębia się w honorowym fotelu z wysokim oparciem, podnosi w górę czoło z kędzierzawą czupryną i zabiera się do nakręcania małym kluczykiem swego srebrnego zegarka...

— Panie nauczycielu! Proszę zaczynać! — odzywa się z godnością, rzuciwszy jeszcze przedtem wzrokiem na rozkład godzin.

— Proszę zacząć od „giografii". — Przewodniczący odkąd żyje, nigdy jeszcze nie wypowiedział tego słowa jak należy — „geografia". A przecież w swoim czasie, służąc przy wojsku, dotarł jako podchorąży aż do granic tego kraju, w którym ludzie mówią: bonżur i mussje — a później już aż trzy razy przez przełęcz Gottharda wędrował w mediolańskie niziny, pędząc tam na targi całą trzodę krasiastych wołów...

Rozpoczęto więc egzamin od pytań z geografii.

Uczniowie z wyższych klas rozpoczęli długą opowieść o naszym pięknym, walecznym kraju.

— Jakiż on to wielki — dzieci zapewniały z całą siłą przekonania, że większego nie ma na całym świecie... Przecież, jak ktoś wyjdzie na wieżę kościelną tam, pod sam szczyt, gdzie po kątach jak kawałki skóry brunatnej wiszą na swych pazurkach niezliczone nietoperze — to, myślicie może, że już zobaczy Szwajcarię, co wysoko wznosi się nad wioską? — Nie zobaczy... Widać stamtąd bardzo daleko, to prawda, no — ale wszyscy mieszkańcy sąsiedniego Mehlheimu, gdy ośmielają się mówić, że z ich Guggistocku widać dalej, kłamią, jak to jest u nich w zwyczaju. Nie, z naszego Melzbergu oczywiście widać najda-

lej... Przecież stamtąd widać nawet wielką rzekę, co jak dzielny wędrowiec bieży do stolicy i jak pot na jego obliczu połyskuje gdzieś w dali łuską swych srebrzystych fal... A gdy powietrze jest czyste, to pod wieczór, tuż po zachodzie słońca, na południowym skraju nieba dojrzysz wyłaniające się jakieś przedziwne zjawy. Z początku zdaje ci się, że to chmury, ale później wyraźnie już dostrzegasz dalekie, potężne olbrzymy górskie, ciemno zielone u stóp, szarawe w piersiach, ale już od ramion nieskalanie białe od przeczystych śniegów... A przecież za tymi górami nie kończy się jeszcze ojczyzna... Bo tam ciągną się znów inne doliny i nowe góry... Ach, Boże drogi, nasza ojczyzna nie ma granic, ni końca...

I opowiadają dalej szkolne dzieci o jej pięknościach.

— Jakże pięknym jest choćby ten wiejski strumyk, zwłaszcza, gdy na jego brzegach rozkwitną żółte jaskry i modre niezapominajki, no i oczywiście, gdy potężna maciora od gazdy Marcina nie zacznie się w nim tarzać z swym jedenaściorgiem młodych... Na dolnym krańcu wsi skacze znów woda poprzez stromy próg kamienny... Ach, ten wodospad nasz — to istne arcydzieło... Tak mówi każdy, kto po raz pierwszy go zobaczy...

— Ale o ileż piękniejszym musi być ten strumyk, gdy zmieni się już w rzekę tam hen, gdzieś w oddali.

Huczy ona swymi falami, jak organy w kościele, gdy na Wielkanoc w wielkie uderzą Alleluja! A jak daleko, daleko płynie... Niech ją tylko ktoś spróbuje zatrzymać... Oto jezioro... Już w nie wpada, ale myślicie może, iż na zawsze? Nic podobnego! Potężnym skokiem dobywa się zeń na drugim końcu i otrząsa się w pianach i bryzgach jak pies po kąpieli.

Po czym, jakby to był tylko żart jakiś, pędzi sobie dalej z uśmiechem. I znów w drodze las jej staje. I już wali rzeka samym jego środkiem, poprzez stare, omszałe jodły... To skała znowu szeroką zaporą stawia się jej hardo. Zdaje się drwić z niej, jak rycerz w pancerzu. Ale rzeka puszcza się na chytrość. Srodze zmieszana udaje, że pragnie się cofnąć i nagle przemyka rycerzowi pomiędzy stopami.

Nigdy żaden człowiek nie przeżył tyle co ona. Nigdy nie widział takich miast z wysokimi wieżami, co rozbrzmiewają chórem swych dzwonów od poranku aż do wieczora, ani takich ludzi, którzy mają całkiem inne od naszych ziomków oczy i całkiem innym mówią językiem, coś na kształt proboszczowej łaciny w kościele, albo nawet jeszcze cudaczniej; ani takich okrętów, raz wysokich, jak domy, to znów maleńkich, jak łupiny orzecha, ani takich fabryk z tysiącami huczących kół, ani takich z szarego kamienia kościołów, cichych, wyniosłych, a potężnych jak góry.

O! ta nasza rzeka! Nie masz od niej piękniejszej w świecie całym...

A potem opowiadają dzieci, ile to miast i wiosek leży w naszej ojczyźnie. Wsi — to nikt w ogóle policzyć nie zdoła, a imion miast zapomina się, bo tak jest ich dużo! — Tylko największe wyliczysz z nazwami. A ponad wszystkie, piękniejszą i większą jest stolica, gdzie osiedli panowie z Rady Związkowej, gdzie mieszka także ksiądz biskup. Patrzą oni na siebie z marmurowych okien każdego ranka i pięknie się witają:

— Dzień dobry, panowie Rada!

— Dzień dobry, księże Biskupie!

Ojczyzna nasza jest pracowita, jak mrówka. Jakież to śliczne konopie przędzą tam daleko w nizinach. Oczy można zerwać z podziwu nad delikatną nicią...

A jaki cudny jedwab tam tkają... Cóż to za płótna bieluchne szeroko błyszczą po łąkach w promieniach słońca... Wnet byś pomyślał, że to śnieg najbielszy je pokrył. Ale co śnieg! Nawet on mógłby się powstydzić przy nich swej białości!

I nigdzie na świecie nie ujrzysz bardziej dorodnego bydła... A konie nasze? — te już chyba pędzą najszybciej ze wszystkich...

— A widzieliście gdzie takie owce, jak te, co wozami całymi zwożą gazdowie z naszych wsi do miasta? Doprawdy, aż podziw ogarnia, co to nie rośnie na naszej ziemi ojczystej...

W miastach naszych mieszkają malarze, co już nie tylko wszystkimi barwami, ale nawet szczerym złotem i srebrem umieją malować... Rzeźbiarze znów krzeszą z kamienia posągi wielkich bohaterów... Posągi tak wysokie, że w ich głowach wnet by się całe Lachweiler zmieściło.

— Przez cały dzień kręcą się maszyny, kominy potężne wyrzucają kłęby modrego lub szarego dymu... Po ulicach pędzą wozy, w powietrzu bez ustanku szybują balony, stalowe szyny błyszczą w słońcu, jak sieć srebrzysta po kraju rozpięta... Ho, ho — nasze państwo jest tak bogate, że samo sobie bije pieniądze, a gdyby kiedy znalazło się w potrzebie — nie ma strachu, zaraz ile tylko zechce, natłoczy monety... Ono nigdy nie może być biedne!

A jakże silną jest nasza ojczyzna!

O tym już najlepiej wiedzą chłopcy. Iluż to bowiem nieprzyjaciół bezwstydną swą pięścią nie waliło już w bramy naszego kraju!

— Zamykać! Zamykać! — wołały oczywiście niemądre dziewczęta. I co? Może nasi praojcowie zamknęli bramy? — Też głupstwo! Otworzyli je na oścież i wprost wypadli na najeźdźców. Wszak od lat siedmiuset z nimi toczyliśmy wojny. I nigdyśmy nie przegrali! — Przyszli Austriacy — zmłóciliśmy ich, jak się młóci dojrzałą pszenicę! Przyszli Francuzi — wcisnęliśmy ich między góry, że krew ich spłynęła, jako młode wino nad brzegami Kibi; niech sobie przyjdą inni i też zbijemy ich na kwaśne jabłko! A najchętniej spralibyśmy Turków! My Szwajcarzy nie boimy się nawet samego diabła. Rozwalimy mu łeb prosto między rogami, a potem całego przez pół aż do samego ogona!

Tak silną jest nasza ojczyzna!

Słuchając tych słów buńczucznych, panowie radcy szkolni puszyli się jak pawie. Przewodniczący Rady szkolnej z pełnym zadowoleniem zażywał jeden za drugim potężny niuch tabaki. A nawet szczuplutki w piersiach ksiądz wikary patrzył badawczo na swe muskuły i już sobie rachował w duszy, czyby tak w krzyżowej wyprawie przeciw półksiężycowi jakichś dwóch a może trzech pohańców nie mógł wziąć na swój rachunek... Niedbała dotąd postawa egzaminowych gości zmieniła się stanowczo na wojowniczą. Zwłaszcza chudy i cienki pisarz gminny, pan Feliks sprostował się jak bohater... Z samego Paryża aktor mógłby się teraz uczyć od niego bohaterskiej

pozy... w jakiej przyjmuje się dziesięćkroć silniejszego wroga... Wszyscy ci państwo niemal wyraźnie czuli już w powietrzu szkolnej izby zapach żelaza i prochu. I było im tak błogo na duchu!

O tak! Bo silną, bardzo silną jest nasza ojczyzna!

I Wackowi podobają się dziś te opowiadania. Ileż to już razy słyszał je z ust trzeciaków, a przecież zawsze ich słucha z całą przyjemnością. — Ach, gdyby tak choć raz pozwolono jemu opowiadać! On umiał to wszystko, ba i jeszcze znacznie, znacznie więcej. Ma bowiem doskonałą pamięć i świetnie umie snuć opowieści. Ale nikt go jeszcze w szkole do tego nie wezwał. Toż czytać jeszcze dość płynnie nie umiał! Skądżeby on umiał już coś opowiadać. Wszak idzie najpierw w szkole abecadło, potem nauka czytania, w końcu opowiadanie. Nigdy na odwrót. To nietykalna prawda wiary pana nauczyciela. — Ach, jakaż szkoda!

Wacek byłby umiał tyle opowiedzieć o dawnych bohaterach. Nie tylko o Wilhelmie Tellu czy Winkelriedzie — o nie! — również o jeziorze pod Murten, po którym dotąd pływają czerwone pantalony pobitych Burgundów, o lodowcu ze szczytów Tessino, na których utknęli Longobardowie. Umie też opowiadać o mistrzu tkackim i o potężnym Hansie Waldmannie, o pobożnym Klausie z Ranftu i o ściętym Henzimie, co jeszcze spod opaski na oczach drwił z małych i wielkich łotrów w swej ojczyźnie. Umiałby opowiadać historie aż do ostatnich lat, których nieomal dotknąć można palcem.

Wszak tyle się ich już naopowiadał swym kolegom. I drugacy i trzeciacy lubią go bardzo słuchać. W każdą niedzielę po nieszporach, na pagórku sterczącym wśród

zielonych pastwisk, tam daleko za wsią wygłasza stale swe sławne opowieści. Rośnie tam leszczyna, a trawę koszą zawsze wczas na wiosnę. Nigdzie się mu lepiej nie mówi. To zadziwiające, czego on nie wie! Ale jeszcze dziwniejsze, skąd to wszystko pozbierał. Coś tam z tego plątało się po wiejskiej uliczce, coś znowu wyszepnęły gdzieś wargi staruszka, tamto ktoś wypaplał przy studni, a może i wyśpiewała gdzieś ptaszyna; i znów coś innego usłyszał w izdebkach grabarza czy kościelnej babki, i znów coś podsłuchał u starych gazdów, co sobie w wieczór sobotni przystanęli przy wiejskim, murowanym ogrodzeniu z fajkami w zębach, gwarząc przyjaźnie...

Zewsząd dolatywały go strzępy opowieści. On wszystko to zbierał i wiązał sobie razem w całkowicie nowe historie.

Więc, gdy Wacek zaczynał opowieść, wszyscy się zwierali ku sobie i gniewnym wzrokiem karcili każdego, kto w czasie opowiadania odważył się nos wytrzeć lub choćby zakaszleć. W końcu, gdy skończył wreszcie i wstał z trawy, strząsając jej źdźbła ze swych spodenek, wywracali go z powrotem na ziemię i wołali chórem: Jeszcze, jeszcze Wacuś, jedną, ostatnią historyjkę!

I Wacek siadał sobie i zaczynał nową opowieść... A w tym, co mówił, nie zdarzyło się, by kiedyś brakło psa, gwarzącego ludzkim językiem, ni krowy porykującej, ni beczącej owcy, ani wreszcie kozy rozdzielającej skutecznie ciosy swymi rogami. W Wackowych historiach zwierzęta zawsze większą od ludzi odgrywały rolę. Znał on je wszystkie lepiej od swego rodzeństwa. Po prostu czytał w ich — naprawdę muszę to tak powiedzieć — w ich duszach.

No, a potem wstawał i zapowiadał stanowczo:

— Dosyć tego na dziś!

I powtórnie chwytały go dzieci i rzucały na trawę:

— Tylko jedną jeszcze. Już naprawdę ostatnią, najostatniejszą... Wacusiu, jak cię prosimy...



I Wacek siadał i zaczynał nową opowieść...

— No, więc niech będzie!

Ale, gdy po raz trzeci próbowali zadać mu gwałt, zrywał się, rozdawał na prawo i na lewo parę świetnie wymierzonych kułaków i oświadczał z powagą:

— Idę teraz doić kozy!

I zbiegał z pagórka, sam podobny do szalonej kozicy, by nagle stanąć, zawrócić galopem i z palcem na ustach wyszeptać:

— Tylko ojcu ani słowa! Pamiętać mi!

I wszyscy go świetnie rozumieli. I pan Filip nigdy nie miał się od nich dowiedzieć, jak znakomity talent twórczy tkwi w jego rodzonym synu. Wiedziała o tym doskonale cała wieś... Nie wiedział nic tylko rodzony ojciec.

* * *

W tym samym momencie egzaminu, w którym chłopcy rozwodzili się, jak to nawet samego diabła nie boi się nasza potężna ojczyzna, otwarły się drzwi klasy i do sali wszedł ksiądz proboszcz. Dzieci chciały wstać, ale ksiądz szybko podniósł rękę i całą dłonią dawał znaki, wołając: Siedzieć, siedzieć! Wprawdzie dziewczęta mimo to wszystkie podniosły się w ławkach, a spośród chłopaków też kilku, takich przymilnych, co to zawsze lubią się trochę podchlebiać. Kilku niezdecydowanych dźwignęło się tylko w połowie i tak wisieli na wpół w powietrzu. Oczywiście nasz Wacek siedział jak kamień w swej ławie. No, bo przecież, jak ktoś mówi: siedź — on zawsze siedzi, a jak znów ktoś wstać każe, to wstaje. Przecież to proste! Więc też nikt w tej chwili tak sztywno nie siedział na swym miejscu jak właśnie nasz Wacek. Goście egzaminowi spoglądali nań niemal z rozczuleniem. Zaiste, ktoby temu chłopczynie chciał zrobić coś złego, sam chyba przede wszystkim musiałby być złym człowiekiem.

— Proszę! Egzamin z rachunków, panie nauczycielu — zawołał sapiąc przewodniczący rady szkolnej. — Najpierw z pamięci, potem na tablicy!

Nauczyciel skinął uprzejmie głową i zatroskanym wzrokiem spojrzał na dzieci drugiej klasy, na którą teraz przyszła kolej. Zupełnie jak żołnierze przed paradą wojskową, wszystkie dzieci zwróciły nagle swe główki ku Filipowi.

I oto zaczyna się coś w rodzaju pociesznej potyczki.

Lecą z katedry ku ławkom czyste, okrągłe cyfry. Uczniowie chwytają je jak piłki i natychmiast odrzucają z powrotem. Więc dobrze odżywione, aż stękające od swej tuszy zero, więc ostra, chuda, trochę jadowita w swym kształcie jedynka, piękna, pełna kokieterii trójka, piątka — przykucnięta niby śmiały skoczek, otyła ósemka, dystyngowana szóstka, w końcu ociężała, chyląca się w koniec świata — dziewiątka... Wszystko to razem lata tu i tam i zdaje się przy tym ćwierkać jak wróble. Niejeden z obecnych na egzaminie gości czuje się doskonale w tym zawrotnym ruchu cyfr. W głowach radców szkolnych wzrasta zdumienie. Porwani wirem pytań i odpowiedzi, próbują sami też rozwiązywać zadania... Ale zanim ich przestarzała maszyna mózgowa ruszyła z miejsca, nasi malcy dawno już wyćwierkali swoje wyniki i rozwiązania. Więc zaprzestali zacni panowie dręczyć się rachunkiem i już zadowolili się samym tylko szczerym podziwem. Ale do tego podziwu rychło dołączył się strach, ba, nawet zgroza! Bo jeżeli ci w drugiej klasie już tak potrafią rachować, to czym się to właściwie skończy?... Gdzie oni w wyższych klasach pomieszczą te swoje liczby i gdzie znajdą materiał do zadań? — Pewno, że

teraz to tylko jednostki i co najwyżej dziesiątki. Trójliczbowe cyfry są dla nich jeszcze tajemnicą. Ale na jak długo? — Bo jeszcze dodawanie — no, można zrozumieć, ostatecznie i mnożenie. Ale odejmowanie i do tego jeszcze dzielenie, dzielenie na cztery części, pięć, siedem, nawet więcej — to już niebezpieczne! To coś wbrew naturze — brr! Powiększać — zgoda! — ale zmniejszać? Trudno po prostu pojąć, przewidzieć, do czego może doprowadzić ta niesamowita sztuka rachunków! O zakład, że w trzeciej klasie ci malcy żonglować sobie już będą setkami. Potem tysiącami, dziesiątkami tysięcy. Cała ta gawiedź zer urośnie w nieskończoność.

I tak, coraz wspanialej rośnie cyfra, coraz większy orszak służby wlecze się za nią. Zaiste coś takiego nie zgadza się wprost z republikańskim ustrojem... Cóż dopiero mówić o milionach? A tu potem jeszcze zaczną ci gadać o bilionach, trylionach i tym podobnych okropnościach. Nawet tego już napisać nie potrafisz, możesz co najwyżej pomyśleć. Ale przy tym już pewny zawrót głowy. I co się stanie wtedy z naszą ziemią? Ostatecznie jest to przecież taki już bardzo stary i dobrze tu i ówdzie popękany dom. Jak się zacznie po nim takimi potwornie wielkimi cyframi jeździć, jedna na drugie jak góry narzucać, co to za gwałty dziać się będą na globie! A jak się potem przez takie cyfry zacznie wszystko dzielić, gotowa powszechna na całym świecie nędza... Wszyscy zginiemy, przyjdzie nam w rękę chwycić kij żebraczy.

Tak sobie to myśleli panowie ze szkolnej rady...

Ale dzieci najspokojniej liczyły dalej. I jeszcze śmiały się przy tym! Dla nich przecież liczby były tylko liczbami. Bo dzieci i liczby jednakowo są niewinne. Mali

rachmistrze nawet nie domyślają się, jakim to groźnym osobnikiem jest sobie taka zwykła jedynka, co to za chytrość kryje się już w dwójce, ani czego potrafi nabroić już taka trójka. I chwała Bogu, że się nie domyślają. Nie mogłyby się wtedy tak radośnie przy rachunkach uśmiechać!

A teraz zaczynają się zadania przy tablicy. Tercjanowi nigdy w głowie się to zmieścić nie mogło, jak z takim małym kawałkiem kredy w ręku rozwiązywać można takie ogromne zadania. Czego oni to tam nie wyrachowywali! Całe lata i dziesięciolecia, cegły na spadzistym dachu, kwitnące krzaki kwiatów na gzymzach domów, żołnierze i ptaki i konie i mnóstwo tym podobnych rzeczy wypisywano takimi malusieńkimi cyframi. I wcale do tego nie było trzeba drapać się ci na dach, ani przynosić cegły do obrachunku, ani chwytać ptaki. Bynajmniej. Tu ci zaraz na tablicy, tą małą kredą wszystko dokumentnie załatwiono z pomocą tych zaklętych znaków. I gdyby nawet chodziło o lwa, to ci po prostu napisano jedynkę. W niej tkwił calusieńki. Ba, nawet wieloryb, czy dwadzieścia wielorybów — wszystko jedno... trochę kredy i jedna mała liczba... Właściwie, to jakby się miało odrobinę białej kredy i parę cyfr, cały świat możnaby pokruszyć na kawałki między wskazującym palcem a kciukiem...

Panowie z rady szkolnej już mieli wpaść w osłupienie. Bo w istocie było to przecież coś zdumiewającego. Ale niemniej i niebezpiecznego.

Do czegóż to podobne, by te drobne dziewczątka swymi małymi, różowymi paluszkami wesoło wypisywały całe szeregi cyfr? No a chłopcy, takie mikrusy i tak sobie

obojętnie kreślili najpotężniejsze cyfry, jakby chodziło o ziarnko grochu. Ci, to już naprawdę można powiedzieć, bawili się karabinem, nie wiedząc, że jest nabity...

I tylko ksiądz proboszcz zdawał się bez lęku patrzeć na tę zabawę dziecięcą. Wiadomo... Za młodych lat rachunki były dlań najmilszym zajęciem. Możnaby śmiało twierdzić, że był w nim materiał na wielkiego matematyka. Jakże to często z gimnazjalnej ławy wołał ku profesorowi, wyprowadzającemu zadania na tablicy:

— Panie profesorze, jabym to prościej... o tak... Albo znów:

— Toby się przecież dało krócej...

I przez dłuższy czas wahał się młody człowiek, czyby serca swego całkiem nie oddać wielkiej, zimnej pani matematyce... Był wtedy jeszcze chłopcem o bladym obliczu, pożeranym tęsknotą za ideałem, co się odbijało w jego szczupłym wyglądzie, a nawet w cierpieniach. Gdyby się mu ktoś w tej chwili przypatrzył, jak oto zasiadał w szkolnym krześle, zażywny, z różowym, dobrotliwym obliczem, z szczerze zadowoloną miną, rozradowany każdym, najmniejszym nawet dowcipem, najdrobniejszą dozą tabaki, najsłabszą nawet odpowiedzią dzieci... — Nie! nie poznałby go nikt z dawnych jego szkolnych kolegów, ba nawet on sam nie poznałby siebie...

Bo to tak było, że gdy już był na drugim roku filozofii, usłyszał raz przyjezdnego, słynnego kaznodzieję... który prawił o poznaniu Boga. Na wieczornym nabożeństwie, na którym znalazł się nie z własnej woli, ale przez cały splot przypadkowych okoliczności. Zapadający mrok ogarnął już i tłum ludu w kościele i piękne malowidła po ścianach i samą nawet ambonę. Jasne, uduchowione

oblicze kaznodziei zdało się tonąć w rosnących ciemnościach. Za to jego słowa były jako światła, które rzucał w mroki.

Właśnie wywodził, jak tego chyba nikt jeszcze ludziom bardziej wzruszająco nigdy nie powiedział, co to za wspaniała jest sztuka odkrywać i badać przeszłość narodów — całkiem na podobieństwo wskrzeszania dawno już umarłych ludzi... Jaką niezrównaną mądrością sprawować władzę sędziowską, jak nóż ostrym orzeczeniem rozcinać kwestię: Oto tu kończy się prawo, tu się zaczyna bezprawie... A przecież za każdym razem, gdy wszyscy sądzili, że oczywiście zakończy wezwaniem: Studiujcie przeto prawo i bądźcie sędziami, badajcie historię narodów, posiądźcie wiedzę o ziemi w geografii... i gdy słuchacze całkiem owładnięci zapałem mówcy już wprost oprzeć się nie mogli porywom podziwu, rzucał nagle potężne: „ale“ i wołał: — Ale, cóż dopiero poznanie Boga, cóż dopiero teologia... I teraz już wszyscy do głębi byli przekonani, że tej świętej wiedzy historyk niegodzien nawet stopy obmywać, że jurysta niegodzien je obetrzeć...

— I znowu — wołał kaznodzieja — od wszystkich innych umiejętności wyższą sztuką jest matematyka. Ona to wymierza niebo i ziemię, ona zgłębia oceany, ona całą atmosferę odważyć potrafi! I już znowu naszemu kandydatowi nauk matematycznych serce jak młot waliło z radości, gdy kaznodzieja nagle znów przeskoczył na swym „ale“ i tym razem przytoczył już najcięższy sprzeciw, wołając w uniesieniu: Tak, ale to wszystko w matematyce jest skończone, wszystko da się ostatecznie obliczyć i wymierzyć, i gdy nauka ta wspomina o nieskończoności, sama się tylko łudzi. Bo matematyka pragnie

przecież zawsze obliczać, to znaczy wszem rzeczom nadawać ich imię i wielkość, ograniczać je i ujmować. Ale teologia jest sztuką i umiejętnością tego co nieskończone. Tu można całe miliony zer dopisywać za jakąś cyfrą, a ona przekroczy wszystkie. Wybiega poza wszelkie liczby, poza wszelkie miary, jako niebo wybiega ponad ziemię. Albowiem istotę jej stanowi duch, tchnienie odwiecznego, nieskończonego Boga.

I stało się ono kazanie teraz podobne do majestatycznej rzeki, po której huczących falach na samym środku, niby wspaniały okręt o nieskalanych żaglach i sztandarach, majestatycznie płynęła teologia... A prawo i matematyka i inne umiejętności i sztuki, niby małe, słabe czółenka, to tu, to tam czepiały się brzegów lądu, gdy wspaniała nauka nad naukami, w całym swym majestacie wypływała na nieskończony ocean...

Onego to wieczora pięciu młodych akademików, studentów filozofii pukało w drzwi małego, gościnnego pokoiku, w którym chwilowo zamieszkał nasz kaznodzieja, pukało, zgłaszając mu swój zamiar niezłomny służenia Bogu w kapłaństwie.

Dwóch z nich sprzeniewierzyło się już po pierwszym półroczu, jeden zapowiadający przyszłego świętego, umarł, jeszcze jeden wystąpił na trzecim roku teologii... jedyny on, dzisiejszy X. Cyryl Zelblein, wytrwał do końca. Zapragnął matematyki, co nieskończonymi operuje cyframi.

I wkrótce objął parafię w Lachweiler... A gdy po raz pierwszy przekroczył progi jego wiejskiej szkółki, myślał sobie w duszy, że to probostwo będzie dlań jeno pierwszym stopniem w dalekiej karierze kapłańskiej, że będzie ot takim sobie całkiem prostym równaniem, zanim się do

różniczkowych zadań zabierze. Bo potem, i to już wkrótce, patrzyłby mu się jakiś duży wikariat w dużym mieście, potem probostwo kościoła farnego w stolicy... katedra teologii na uniwersytecie... Stanie się na niej napewno wyrocznią dla wszystkich wątpiących, latarnią morską w zamęcie religijnych trudności i błędnych opinii...

A jednak... A jednak został jakoś na zawsze przy swym pierwotnym równaniu... Powoli, powoli — jak to mówią — „chłopiał"... Broń Boże, w jakimś ujemnym znaczeniu. Ale im dłużej bawił wśród tych życzliwych sobie, wiejskich ludzi i bardziej wgłębiał się w znajomość poszczególnych dusz ludzkich, tym jaśniejszym stawało się dlań, że i tutaj rozwiąże jakoś swoje życiowe równanie. W każdym swym wiejskim parafianinie odkrywał cały niezmierzony, nieskończony świat, który mu w pełni wystarczał. I już nigdy nie miał zabrać się do owego teologicznego dzieła w ośmiu tomach, o którym marzył nieraz tak cudnie w gorączkowych chwilach swej kapłańskiej młodości... Ani wyruszyć na objazd stolic Europy, które niegdyś na jej mapie mocno sobie w okresach swych kleryckich fermentów czerwonym ołówkiem podkreślał, jako stacje jego wspaniałych wypraw i apostolskich zdobyczy. Jego niski kościółek o wąskiej nawie, jego ciasna plebanijka, mały ogródek z domkiem dla drobiu i... tych sześćset dusz starczyło mu dziś za cały świat. Od wielkich, wielocyfrowych liczb coraz to częściej, coraz to wyraźniej zawracał X. Cyryl ku skromnym jednoliczbówkom... I poczynał wierzyć coraz głębiej, że może i naprawdę najwyższa matematyka kryje się raczej w jedynce, niż w jakichś olbrzymich sumach bez końca...

Nikt też tym dziecięcym rachunkom nie przysłuchiwał się tak uważnie, tak radośnie, jak ksiądz proboszcz Zelblein. Patrzył na kreślone przez nich liczby, jak żeglarz z brzegu patrzy na połatane, stare okręty, to znów na nowiusieńkie, świeżo na morze, spuszczone statki... Płyną one po falach oceanu i przypominają mu straszliwe sztormy, które przeżył i zniszczenia, których doświadczył — i ratunek, który ostatecznie znalazł na tym kawałku stałego lądu, na morskim brzegu... I było mu w duszy coraz i coraz radośniej. Wreszcie zerwał się z krzesła, podszedł do tablicy tym szerokim, spokojnym krokiem, w który powoli przedzierżgnęła się jego młodzieńcza gorączka i porywczość.

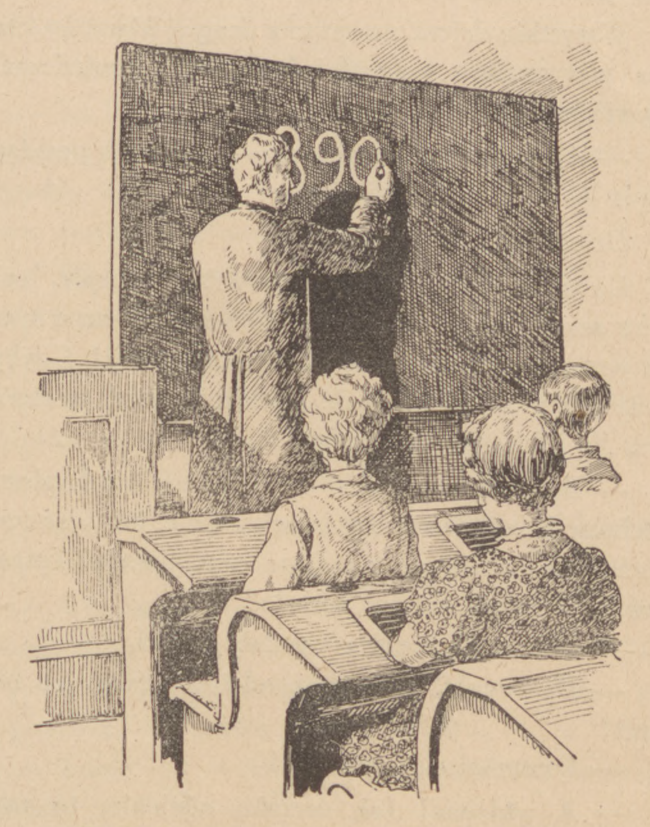
— Panie nauczycielu — ozwał się z dobrze opanowaną, nieco już starczą, a przecież wyraźną żartobliwością — proszę uprzejmie o kawałek kredy!

— Służę księdzu proboszczowi — ociągając się nieco, odpowiedżiał pan Filip, który ogromnie nie lubił, gdy mu się ktoś wtrącał w tok egzaminu.

A wszystkie dzieci już wysunęły główki. Panowie z rady uśmiechali się szelmowsko, przeczuwając jakiś dobry kawał... Nauczyciel z rosnącym zakłopotaniem gładził poły świątecznego surduta, chociaż nie było na nim najmniejszego zmarszczka. W programie egzaminu nie było żadną miarą punktu z rachunkami proboszcza, a co nie było w programie, to mistrza Filipa natychmiast wprowadzało w całkowite zakłopotanie.

Ale ten „nadprogramowy“ ksiądz tym bardziej spodobał się Wackowi. Ajaj, jak on się dusił ze śmiechu! Bo... no nie! ale, żeby ksiądz proboszcz z kredą w ręku przy tablicy... dajcie spokój, to przecież arcypocieszne.

Czy on naprawdę będzie pisał liczby? Ksiądz to z całą pewnością pisze je całkiem inaczej, jak tacy zwykli ludzie. O! o! patrzcie!




Ks. Proboszcz nakreślił na tablicy liczbę 890.

Proboszcz istotnie nakreślił na tablicy trochę wielkimi, sztywnymi cyframi, które, by tak rzec, miały w sobie coś z teologii i nieskończoności liczbę — 890. A potem zwrócił się do dzieci z trzeciej klasy, które przeszły już w rachunkach liczby trójcyfrowe i rzekł:

— No! słuchajcie! Historię umiecie doskonale, ale musicie też umieć rachunki. Powiedzcie mi, która z tych liczb jest większa i silniejsza: ósemka, czy zero?

Wszystkie dzieci, nawet te z drugiej klasy, ba, nawet para pierwszaków jednogłośnie poczęło oświadczać, że oczywiście ósemka.

— A jak ja wam tu powiem — kusił ich podstępnie ksiądz — że zero jest silniejsze?

Dzieci były zdumione.

Co takiego? Zero? Wykluczone! To głupie, leniwe, grube zero? Ten próżniak i nierób z idjotyczną twarzą, bez oczu, bez ust, bez wyrazu? Ani mowy! Gdyby to nie ksiądz proboszcz mówił! A jemu przecież trzeba wierzyć. No jakże, wypada przecież...

— Więc nie wierzycie — uśmiecha się kapłan. — O łobuzy jedne! No to zaraz zobaczycie, co to za mocne i zacne stworzenie jest z mojego zera. Uwaga! Teraz zakrywam ósemkę, cóż mi zostało?

— Dziewięćdziesiąt — wołały dzieci.

— Doskonale! Ale teraz odcinam zero. Co macie dzieci?

— Osiemdziesiąt dziewięć!

— A widzicie! Jak ósemka odejdzie, to zawsze jeszcze zostanie dziewięćdziesiąt, a to aż nadto, aby Turków i innych wrogów przepędzić, gdzie pieprz rośnie. Ale jak zero precz pójdzie, to już macie tylko osiemdziesiąt dziewięć żołnierzy, braknie im oficera... no... i pewnie, że jeszcze Turkom daliby radę, ale już innym — nie!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Sam tylko nauczyciel stał nieporuszony z jakąś boleściwą miną. Czuł się

tym niewłaściwym, jego zdaniem, żartem głęboko dotknięty w swej godności nauczyciela rachunków.

— Więc wierzycie teraz, że zero jest mocniejsze — pytał ksiądz...

— Taaak — krzyczały dzieci.

— No i tyle! — wmieszał się pan Filip. Wprawdzie powtórne wysłuchanie tego wariackiego fałszu kosztowało go bardzo dużo, lecz przełamał się, by zachować poprawne formy grzeczności.

— Wierzymy, wierzymy. Zero mocniejsze! — wołała rozzuchwalona dzieciarnia.

— A przecież patrzcie, jakie to zero zawsze skromne. Puszcza przed sobą taką ósemkę i idzie z tyłu za nią, jak służka, co za swym państwem koszyk nosi. A przecież to zero mocniejsze od ósemki.

— No, ale... ale... jąkał się tam ktoś pod ścianą, w samej ostatniej ławce...

— A ty czego, Bernuś? — spytał ksiądz malutkiego, garbatego chłopczynę, którego oczka jarzyły się dowcipem.

— Bo z tą ósemką, to już niech będzie... ale... jakbym ja odciął dziewiątkę — to... wtedy...

— Wtedy co? — rzucił się proboszcz z energicznym pytaniem.

— To wtedy nie zostanie mi już osiemdziesiąt dziewięć, ale tylko osiemdziesiąt. Więc — kończył chłopczyna już śmielej, co właśnie dostrzegł, jak nauczyciel kilkakroć mocno skinął mu głową... Więc zero jest słabsze od dziewiątki i... — tu znowu dojrzał dobitnie zachęcające kiwanie głową nauczyciela — i może...

— A ty głowo do pozłoty — przerwał mu ksiądz

z udanym gniewem. No, dziewiątka, toby było, ale ósemka — żadną miarą!

— Tak, proszę księdza proboszcza, tak, naprawdę... upierał się malec i szelmowskim okiem rzucał ku księdzu. Widać było, że już się trochę połapał w całym jego kawale.

— Zostaw ty moje zero w spokoju — bronił się ksiądz z serdecznym uśmiechem. — Cóż ci złego zrobiło? — A pochyliwszy się do prezesa rady szkolnej, szeptał mu w ucho:

— Tego Bernardka warto by posłać do szkół...

— Z ust mi to ksiądz proboszcz wyjął. Już nieraz myślałem... — reszta słów utonęła w jakimś sapaniu niejasnym i śmiechu. Bo pan prezes należał do tych szczęśliwych ludzi, co zawsze jedną minutę wcześniej pomyślą to wszystko, co innym przychodzi na myśl, chociaż z przesadnej skromności nigdy nie wypowiedzą wcześniej swego zdania.

— Ale ci to szelma, ten Bernerk — szeptali po ławkach rodzice. — Całkiem jak ojciec... Bystry i cięty...

Teraz już wszystkie dzieci dorozumiały się, że ksiądz z nich tylko żartował... Że więc to zero naprawdę musi być mniejsze od ósemki. Jeden tylko Wacek nie wpadł na to. Przyglądał się okrągłemu zeru na tablicy z pełną prostoty radością. Uwierzył księdzu na słowo.

Poczciwe, kochane, wierne zero... Służka — jak mówił proboszcz... Biegnie nieboże z tyłu za innymi liczbami... Nawet nań nie spojrzą, takie wszystkie dumne... A czymże byliby ci wielcy państwo bez tego służki?... Któżby doił im kozy, pasł krowy, nawóz

wyrzucał z obory? I w ogóle ktoby dbał o ład i porządek w gospodarstwie?... Wszystko by gniło i ginęło... Takie zera, takie służki też są potrzebne na świecie...

I, myślał sobie Wacek dalej, że on to właśnie akurat jest takim zerem. Niech sobie czyta wspaniale, komu to potrzebne, niech sobie rachuje, komu się podoba... On, Wacek pragnie, jak ten służka iść z tyłu za wielkimi ludźmi, co się zajmują tamtymi sprawami, pragnie chodzić koło domu, stajni, doglądać łąki i bydła, by tamci mieli dość mleka i sera, a i masła nawet na niedzielę... By miał kto zżąć im zboże i sprzedać dobre ziarno... i żeby na wiosnę rolę porządnie nawieźć, w jesieni zebrać z drzew owoce... To w sam raz dla niego robota... Cóż by ci wszyscy mądrale poczęli bez swego służki?

I im dłużej wpatrywał się w swoje zero, tym więcej widział w nim podobieństwo do siebie... To jakby jego braciszek... Nie, to nawet, jak on sam. W okrągłej tarczy zdało mu się, że widzi siebie, jak w zwierciedle. Czuł, że musi się doń uśmiechnąć, skinąć głową, pozdrowić, — a zero z tablicy zdawało się mu we wszystkim odwzajemniać.

Nagle przebiegł go dreszcz od stóp do głów.

— Proszę przejść do pierwszej klasy — panie nauczycielu — wystękał prezes i potężnym kciukiem, klapnął w ostatni wiersz programu dzisiejszego egzaminu. — Niech pan im każe czytać ustęp dwunasty — „Wierna kotka".

Na te słowa wiele dzieci ogarnął strach. Ustęp dwunasty był jednym z ostatnich. Toteż nic dziwnego, że nie umiały go czytać tak płynnie i bez błędu, jak początkowe, tyle razy już przerobione. Łatwość tę można

poznać, choćby po narożnikach stronic dobrze już zbrudzonych od wiecznego odwracania zapoconymi palcami, czy po przyciemnionym kolorze papieru. Ale jeszcze bardziej przeraził się sam nauczyciel. Przecież jego Wacek potrafiłby odczytać coś jedynie na pierwszej stronicy i to jeszcze w pierwszych wierszach opowiadania. Na stronie dwunastej nie przesylabizuje ani jednego słowa.

— Czy panu przypadkiem nie słabo? — spytał Filipa ksiądz proboszcz... — Tak pan zbladł jakoś nagle...

— Ach, to z gorąca — księże proboszczu — odparł szybko nauczyciel, pot rzęsisty obcierając chustką po twarzy. Istotnie, korpulentni panowie radcy, a już szczególnie gruby tercjan szkoły ciągle mieli w użyciu swe kraciaste, duże chusty... Bo też w porannym powietrzu czuć było jakąś duszność i parność, jakby przed mającą nadejść burzą. A jednak nauczyciel czuł raczej zimne dreszcze. Czuł je, jak jeden za drugim przebiegały wyraźnie po jego grzbiecie. W nocy spał bardzo licho, zdenerwowany w najwyższym stopniu nie mógł nawet przełknąć śniadania, a teraz, na dobitek, obok tej strasznej, ciężkiej atmosfery przygniatała go nadchodząca z całą pewnością godzina hańby... przez syna! Czuł się jak wódz, który swym żołnierzom wydał rozkaz marszu przeciw wrogowi, a przewiduje, że wielu z nich bez dobycia miecza odrazu ulegnie. I oto między tymi bezsilnymi, między najsłabszymi był właśnie jego Wacek...

Coraz i coraz bliżej podchodzi on do walki... już wpada w sam wir bojowy... uderza niedołężnie, niemrawo... O! patrzy ojciec — i na własne oczy widzi, jak chłopiec odkrywa przed wrogiem słabiznę swoją, jedną

po drugiej... Już go obalają na ziemi... już bez litości tratują... Jego dziecko, jego jedynaka... O! O!

Wacek zaś nie czuje wcale strachu. Przecież on tę całą historię z dwunastej strony umie tak dobrze. No — oczywiście — nie czytać! Ale opowiadać! I to jedynie z tego, co w klasie zasłyszał. Umie świetnie! Byle go tylko ojciec chciał pytać z opowiadania! — Ach, jakby on ślicznie odmalował tę matkę kociąt... o ciemnobrunatnej... jedwabistej sierści... I te jej małe... także takie brązowe, przemiłe... I potem tego straszliwego drapieżcę z krzywym dziobem... Ale, gdzieżby mu tam kto pozwolił opowiadać taką historię, której nawet tytułu nie umiał porządnie odczytać!

No i wreszcie zaczęło się czytanie. Jak to bywa u tych, co się dopiero A B C nauczyli... Takie sztubackie, nudne... Tam, gdzie dzieci czuły się dość pewnie, było ono niemal wśpiewane, prędkie... ale, jakże znowu powolne, gdzie trzeba było sobie dopiero drogę torować... Wtedy czytanie ich zdało się podobne do jakiegoś niepewnego macania słowa po słowie, jakby to wszystko wyczuwały raczej... Często pierwsza zgłoska wylatywała im z warg chyżo, ale już druga potrzebowała długiego czasu i tarabaniła się wolno, szeroko, jak stara kwoka. Między tymi dwoma zgłoskami stał mały lektor z otwartymi ustami, to znów poruszał wargami szybko a cichutko i z całym zapałem, jakby sam coś do siebie chciał szeptać; przewracał oczami jak aktor, potrząsał głowiną i robił miny, jak kogut gotujący się do piania, albo wieszczek do wydania wyroczni. Rzeczywiście okropne było to dukanie nawet dla słuchaczy, którzy co chwilę

podskakiwali na krzesłach, pragnąc malcom podpowiedzieć potrzebną sylabę.

A przecież i mimo wszystko żaden myśliciel, ni artysta dramatyczny nie potrafiłby czytać tak znakomicie jak te małe dzieci. Z całą pewnością! Warto się było bliżej przypatrzeć ich zapałowi. Bo dzieci czytają nie tylko parą swych oczu bystrych, nie tylko ustami. Nie! Czytanie ich widzisz najwyraźniej na czole, które marszczą do niemożliwości, na policzkach, wydętych mocno, to błyszczących rumieńcem, to znów śmiertelnie bladych, na brodzie drżącej co chwila... Ba, nawet niespokojnie kręcąca się szyja, wznoszone, to znów opuszczone ramiona, palce w powietrzu, jakby grzebiące, nogi przestępujące ze stopy na stopę... Cały i każdy maleńki człowiek (a może członek) czyta tu swą pełną istotą... Widać, że wkładają w to czytanie swą duszę. Każde słowo pojmują jako obraz, stojący im najwyraźniej przed oczyma.

Patrz, patrz, jak się uśmiechają, czytając:

— Małe kocięta igrały tak pociesznie wokoło swej mateczki...

I już w tej samej chwili kołyszą swą małą szyjką, ba, całym ciałem w tak jeszcze elastycznych i miękkich biodrach, jak gdyby chciały naśladować małe zwierzątka.

— Nagle, jak cień złowrogi spadł na nie gdzieś spod chmur sęp straszliwy... Patrzcie, jak przy tych słowach skuliły się w sobie dziewczęta, jaka trwoga wyjrzała z ich oczu zmrużonych...

— Stara kotka i ptak drapieżnik sczepiły się z sobą...

Jakże potężne wrażenie robią na dziatwie słowa „sczepiły się z sobą"... Chłopcy w jednej chwili zaci-

snęli swe piąstki, a dziewczęta już poczęły badawczo oglądać swe ostre, różowe paznokcie...

— I oto sęp wzlatuje w powietrze, unosząc ze sobą nieszczęsną matkę. Ni on od niej już oderwać się nie może, ni ona od niego. Sczepieni ze sobą szponami i pazurami muszą razem wznosić się w przestworza, lub... paść z nich na ziemię. Lecą. Już ponad wieżą kościoła, nad szczytem pagórka, aż hen, ku szarym chmurom na niebie...

I już dzieci niemal wszystkie patrzą na sufit, ale, nie, przebijają go wzrokiem, sięgają gdzieś w zawrotne wyżyny... A ileż współczucia i przerażenia widać w tych małych oczach!

— Wreszcie krwią zlany napastnik i jego ofiara runęły spod chmur na ziemię. Ach! jakże te kotki maleńkie z rozpaczą węszą i przeraźliwie miauczą koło swej martwej już mateczki...

Tu głos chłopców najwyraźniej nabiera jakichś ciemnych tonów, głęboki żal dźwięczy poprzez ich słowa... A Frania Berner, ta wiecznie wesoła dziewczynka z sąsiedniej Wackowi ławki, omal nie zanosi się od płaczu...

Nie! Któżby mógł wątpić na chwilę, że dzieci istotnie nie przeżywają wszystkie, co im czytać przychodzi.

Słuchając ich, goście wyrażają swe pełne zadowolenie z lekcji czytania. A przecież nauczyciela ogarnia coraz większy niepokój. Za każdym razem, gdy jakiemuś dziecku każe usiąść po skończonej odpowiedzi, już, już zdobywa się na ogromny wysiłek, by jako następne wywołać swego Wacka. I za każdym razem brakuje mu sił

i odwagi, bo ot jakieś inne imię pada z warg jego ku klasie... Podniecenie Filipa rośnie w miarę, jak kurczy się liczba dzieci, które dziś jeszcze nie czytały... I znowu poczucie wstydu walczy w nim z poczuciem honoru i uczciwości... Blade zwykle policzki pokrywa silny rumieniec. Ale nie ten, co zdrowie i siły oznacza... To raczej, drobne, ciemno-czerwone centki, które gorączka zwykła malować na ludzkiej twarzy. Widać, jak drżą mu muskuły, widać przez skórę, jak biją mu pulsy...

Biedny, biedny nauczyciel!

Mógłby się komuś w tym stanie wydać śmiesznym... Gdyby ktoś jednak wiedział i odczuł, ile razy przymierał on głodem i pragnieniem, ile się namarzł w zimie, ile groszy ciułał i ciułał, byle tylko zdobyć trochę tej uczniowskiej w seminarium mądrości... Gdyby ktoś wiedział, ile głębokiej czci odczuwał on zawsze przed wiedzą, zwłaszcza przed tą tajemną wiedzą, która do dziś była dlań jeszcze ciągle księgą zamkniętą na siedem pieczęci... Gdyby wiedział, jak on od siedmiu lat wielką, obcą, tajemniczą wiedzę starał się z całych sił powiązać z swoim chłopczyskiem tak, że po prostu nie mógł ani na chwilę wyobrazić sobie syna bez wysokiej nauki, a nauki bez syna...

Ach, gdyby ktoś był słyszał, jak on to już pierwsze kroczki dziecka, pierwszy jego bełkot niemowlęcy objaśniał ludziom po wsi jako niechybne dowody jego inteligencji, dowody całkiem i całkiem inne od kroków czy bełkotu reszty wiejskich malców... I to jeszcze, jak te wszystkie swoje nadzieje po całym sąsiedztwie obnosił, jak w całą gromadę wiejską wszczepiał całkowitą pewność, że w jego Wacku rośnie drugi mędrzec Salomon...

I dalej jeszcze, gdyby ktoś wiedział, jak Filip dwa dni i dwie noce spędził na gorącej modlitwie i jak na kolanach obchodził łóżeczko syna, gdy dziecko dusiła dyfteria, a biała jak kreda twarzyczka zdawała się zapowiadać śmierć niechybną... I jak od ust latami sobie odejmował, oszczędzał i ciułał, i połowę tych oszczędności z marnej pensji składał w banku na książeczkę, byle tylko Wacek kiedyś miał za co studiować na uniwersytecie, a za drugą znów połowę kupował i gromadził dla niego pełne głębokiej mądrości księgi o czerwonych brzegach kart i wspaniale złoconych napisach na grzbiecie, które teraz pyszniły się na bibliotecznej półce w izbie jego...

Ach! Gdyby ktoś to wszystko wiedział, a w dodatku jeszcze i to, jak delikatnym, nerwowym, wrażliwym człowiekiem był ten wiejski nauczyciel, którego już w latach dziecięcych na najlżejszą uwagę ojca czy matki zalewała purpura rumieńców, a najlżejsza nagana profesora paliła, jak straszliwe biczowanie; jak najmniejszy błąd w zadaniu dręczył go gorzko całymi tygodniami... Ktoby — raz jeszcze powtarzam, wiedział o tym wszystkim, to by pojął, ile biedny Filip wycierpiał w tym roku szkolnym, co właśnie chylił się ku końcowi, jak umysłowe niedołęstwo syna zatruwało mu każdy dzień życia i jak właśnie dziś, przy tym egzaminie, w którym chluba i hańba całego roku szkolnego równocześnie skupiły się w tym jednym krótkim przedpołudniu, jak te wszystkie niezliczone gorycze i zawody, którymi karmił go każdy niemal dzień, zlały się razem, by tak rzec, w jeden kielich, który dziś właśnie miał do dna wychylić.

O tak! Ktoby wiedział o tym wszystkim, ten dopiero zrozumiałby, skąd na twarzy Filipa zjawiły się te złowrogie plamy gorączki, czemu drżały mu ręce, skąd płynęły dreszcze przebiegające po jego grzbiecie, skąd ten głos, pełen jąkania, zmącony wzrok, mgłą jakąś dziwną przysłonięty, skąd ta cała bolesna niepewność jego postawy i zachowania.

— Ach, to już nie do wytrzymania — westchnął na głos pan tercjan, czerwoną w kraty chustą odpędzając z twarzy upartą muchę. — Widzicie, nawet nauczyciel stoi cały, jak w ogniu...

— Ciekawa rzecz, czemu on jakoś nie wyrywa swego chłopca — odpowiedział mu stary Jędrzej. — Mógłby znów tak nie bawić się w zbytek skromności!

— On go pewnie chce zaprezentować na samym końcu — mruknął ku nim radca Gebhard. — Zobaczycie — Wacek będzie koroną całego egzaminu... — Mówiąc to, rzucił ku Filipowi i jego dziecku wzrokiem, którym chciał wskazać wszystkim te dwa niby puszące się pawie — ojca i syna...

— On go z pewnością wcale tu nie spyta — szeptali do siebie dwaj zacni ojcowie, którzy od synów wiedzieli, jak fatalnie wyglądała nauka Wacka... — I właściwie — mruczeli dalej — to już zawsze tak bywa z nauczycielskimi dziećmi... Wiadoma rzecz!

Tymczasem z całej pierwszej zostało jeszcze tylko dwóch chłopców, dotąd wcale nie pytanych. Syn lekarza Emil, najzdolniejszy w klasie i Wacek, z wszystkich najgłupszy!

I już... już nieszczęsny nauczyciel miał na końcu

języka: Czytaj dalej Wacław... gdy nagle rzucił się i jednak zawołał: Emil!

Pewny siebie, zerwał się z ławki syn doktora. Jego rozśmiane oczy zdały się wołać:

— Ja umiem wszystko! Pytaj mnie z czego chcesz, jak chcesz i gdzie! Jestem gotów!

Zdawało się, że odpowiedzi czekały na wargach chłopca, czerwonych, ostro zarysowanych... że czekały w jego szarych, stalowych oczach, jak szybkie ptaki gotowe do lotu. Ot, ledwie już ustoją na końcu łapek, uderzają skrzydłami, trzęsą sterówkami ogonków...

Emil rzucił błyszczącym okiem ku ojcu, jakby go chciał zapewnić: nie lękaj się, tato, ani odrobiny! Uśmiechnij się! Zobaczysz za chwilkę, co twój Milek potrafi! I tu zaraz niecierpliwie spojrzał ku nauczycielowi, zawisł cały na jego wargach i nogą począł jeździć po podłodze, jak ognisty źrebak, czekający tylko na radosne: Wio! — by galopem pognać na szerokie błonia!

— Emil! Zamknij teraz czytankę i opowiedz nam, cośmy się to dziś z niej dowiedzieli — padł rozkaz Filipa.

Chłopiec zamknął książkę i nawet nie zostawił w niej palca między kartkami, jak to bywa u niepewnych lekcji uczniów. O nie! Rzucił ją z hałasem na pult ławki, ściągnął ku sobie ramiona i... zaczął.

Niemal słowo w słowo opowiadał z czytanki tragiczną historię zwierzęcą. Tu i ówdzie odważył się zmienić jakieś słowo, tu i ówdzie nawet, w miejsce literackiego, ale niezbyt, jak mu się zdawało jasnego stylu, wsunął jakieś ludowe wyrażenie. Było oczywistym dla każdego

że doskonale pojął całą tę opowieść. Nie zapomniał o najmniejszym szczególe. Wszystkie drobiazgi wyliczył akuratnie. Barwę sierści zwierzątek, niemal każde ich miau, miau... Jasno, prędko kreślił dzieje całej tragedii. Ale ani razu nie zmienił w niej głosu, ani razu tonu swego nie zabarwił jakoś ciemniej czy jaśniej. Tak mógł opowiadać każdy, kto nawet całkiem nie wierzył w treść tego opisu. Emil wszystko wiedział, ale nic nie odczuwał.

Nie mniej przecież wszyscy obecni byli tą opowieścią zachwyceni... Wszyscy — prócz jednego Wacka!

Jego drobne wargi poruszały się nieustannie... Bo on opowiadał dla siebie całą tę historię równocześnie z tamtym... Niestety, tylko dla siebie... w tajemniczym, niedosłyszalnym szepcie. W rzeczywistości była to ta sama opowieść tylko, że Wacek w zimne, nieczułe zdania swego kolegi rzucał całą masę barw, tonów i świateł. Wszystko to u niego ruszało się i miauczało, zwijało się w sobie i wpijało się szponąmi, pazurami w żywe ciało, leciało w powietrze, padało w głębokości ziemi — całkiem, całkiem inaczej, jak w opowiadaniu Emila. Tu czułeś krew i życie. Tuś musiał wierzyć, czuć, przeżywać w głębi cały dramat... Ach, gdybyż choć jeden, jedyny człowiek mógł tę przedziwną historię usłyszeć, poza Wackową duszyczką... Gdyby choć jeden!

Nikt jednak nie słyszał, a gdy nauczyciel rzucił swoje „doskonale“, gdy panowie radcy przyjaźnie kiwali głowami, gdy prezes rady wykrztusił swoje, w połowie połknięte w sapaniu: brawo — to wszystko wyłącznie dla mądrego, pojętnego Milka, Wackowi nie rzucił nikt słówka uznania.

— No, przeczytaj nam jeszcze zakończenie — bezbarwnym głosem polecił Emilowi nauczyciel, który bezskutecznie starał się jeszcze jakoś panować nad sobą.

Emil gwałtownie otworzył książkę i czytał, mocno, radośnie akcentując każde słowo:

— Dzieci uczcie się od tych bezrozumnych zwierząt, jak to rodzice gorąco kochają swe dziatki, i jak one ze swej strony powinny kochać rodziców!

— Dobrze, bardzo dobrze — rzekł nauczyciel z dużym wewnętrznym przełamaniem się i z tą samą, ciągle przerażającą pamięcią o swym Wacku, którego ostatecznie teraz będzie musiał wywołać.

— Dałeś nam doskonałą odpowiedź, jak to zresztą było u ciebie przez cały czas nauki.

Filip pragnął jeszcze choć wzrokiem wyrazić swe uznanie ojcu Emila, jakby gratulując świetnych wyników syna, ale już na to brakło mu siły.

Na moment zapanowała w sali całkowita cisza.

Nauczyciel zawahał się raz jeszcze...

W końcu szlachetna jego dusza odniosła zwycięstwo i głośno zawołał:

— Wacław Korn!

Wacek usłyszawszy nareszcie swe imię, pomyślał sobie:

— Aha! Teraz i mnie wolno opowiadać.

Przetarł więc koniec języka o wargi, jak szlifierz, co nóż swój zaostrza. Spojrzał z całą powagą ku Filipowi, widział w nim w tej chwili jak zawsze w szkole nie ojca, lecz jakiegoś obcego, surowego i nakazującego szacunek pana. I jak to było dotychczas za każdym razem, gdy

miał odpowiadać i dziś, na widok tych rzadkich, ubogich wąsików począł sobie rozmyślać!

— Ale to przecież jest mój ojciec, przecież nikt inny nie ma takiego wąsa... takiego długiego... cieniutkiego i w tak brzydkim kolorze... A jednak, właściwie nie ojciec! Bo on tak, jakby mnie całkiem nie znał! Przecież tata, zawsze się uśmiecha, gdy ze mną mówi. A ten tak gniewnie marszczy czoło i brwi, jakby się złościł... Więc właściwie, czy jest on, czy nie jest moim ojcem? Któż to więc jest? Ach! Już wiem! To będzie... no... taki... półojciec. Ach! Jakież to śmieszne!

I znowu teraz, jak za każdym razem, gdy był pytany, te wszystkie obserwacje i spostrzeżenia zbałamuciły go i zmieszały zupełnie, a już najbardziej ten marny, długi wąs, który chłopcu ciągle stwierdzał niezbicie, że to naprawdę ojciec — a przy tym, ten świeżo odkryty przez niego — zabawny pół-ojciec...

— Uważaj! — Odezwał się Filip mocno stroskanym głosem. — Powtórz naukę moralną z tego wydarzenia.

Wacek zacukał się do reszty... „Naukę moralną..." Czyżby on to potrafił powiedzieć? To już nie było opowiadanie... Tu już ani słowa o kotce i o drapieżnym sępie, ni o prześmiesznych kociętach... „Naukę moralną ze zdarzenia..."?? Co to ma być? Samą historyjkę — wiadoma rzecz, jakby on ją świetnie oddał, ale naukę... naukę moralną... naukę... Co to takiego?... To mu już coś znowu pachnęło czytanką, książką. Wyprowadzać wskazówki moralne z opowiadania? — nie! — tego on nie potrafi!

Gdyby nauczyciel był zadał pytanie nie w takim szkolnym, podręcznikowym tonie... Gdyby był na przy-

kład zapytał: „A co by wam, moje dzieci, powiedziała stara kotka, gdyby tak umiała mówić?“ — To chłopczyna z miejsca by odrzekł: — Nigdy nie pozwolę sępowi zabić moich dziateczek. Chodź tu, okrutny ptaku, nic ci się nie boję! Zgodzę się prędzej, byś mnie samą rozszarpał, niż byś choć jeden włosek wyrwał z sierści mego kociątka! — O! — to, to właśnie byłby dzieciak łatwo powiedział za kotkę, która mówić nie umie i byłby jeszcze dodał od siebie:

— Bo ojciec i matka okropnie zawsze kochają swoje dzieci... Ale tak sucho, bez barwy, bez tonu — nie potrafił Wacek ująć nauki moralnej z tej bajki... Milczał przeto z całą stałością i tylko szybko przebiegał wargami, jak gdyby w ustach szukał odpowiedzi i w ustach ją nieustannie obracał.

— No więc — Korn! — Jakaż nauka płynie z tego zdarzenia? — nalegał Filip głosem widocznie drżącym z wewnętrznego rozdrażnienia.

To drugie pytanie brzmiało dla dziecka jeszcze bardziej ciemno i niezrozumiale. Wacek zaniemówił zupełnie i przybrał minę, mówiącą wyraźniej, niż wszelkie słowa:

— Nie pytaj mnie więcej! Wszystko daremne! — Ja nic a nic z tego nie wiem!

Nauczyciel chciał się prawą ręką oprzeć o katedrę, bo czuł, że lada chwila upadnie. Przełamał się raz jeszcze, podszedł do chłopca i począł prosić przymilnym głosem:

— Więc przeczytaj raz jeszcze zakończenie, które już czytał Emil...

Z czysto mechanicznym posłuszeństwem Wacek otworzył książkę na chybił trafił. Właśnie na stronie ósmej... Czyż wiedział, gdzie jest akurat strona dwunasta? I znowu ani słówko z ust mu nie wyszło.

Nauczyciel to był powinien przewidzieć. Przecież Wacek dotąd jeszcze nigdy nie otworzył czytanki na stronie właściwej. Ale w tym całym zamieszaniu sobie i dziecku utrudniał sytuację.

— I cóżeś ty znowu za stronę otworzył? — krzyczał już, marszcząc czoło i opierając się o pult ławki. Widać było, jak ciężko dyszał, mówiąc te słowa.

— Na ósmej stronie — wyrwał się głośno Emil, który siedział tuż obok i czuł dużą radość z Wackowego nieszczęścia. W tym samym momencie doktór rzucił synowi tak miażdżące spojrzenie, że mały szyderca umilkł momentalnie, zdusił w sobie uśmiech i zawstydzony, spuścił w dół głowę. Lecz nagle, zorientowawszy się szybko w tragicznej sytuacji, porwał swoją czytankę i wetknął ją Wackowi do ręki. Równocześnie palcem wskazał mu numer strony, na której miał czytać. A czyniąc to wszystko z przedziwną sztuką uczniowską, którą wszystkie dzieci świetnie rozumieją i zamykają w podpowiadanie, zda się bez poruszenia wargami, szeptał koledze początkowe słowa owej nauki: — Dzieci, uczcie się od tych nierozumnych...

Bezmyślnie, patrząc w książkę, sylabizował za nim Wacek ociężale i bez zrozumienia:

— Dzieci, uczcie się od tych bezrozum...

— Dziękuję, dziękuję. — Jesteśmy zadowoleni — wyrzekł w tej ciężkiej sytuacji prezes rady szkolnej... Może dlatego, że wskazówka jego zegarka stanęła już na

jedenastej, a może też i przez współczucie z okropnym położeniem nauczyciela. I w tej samej chwili z wielkim hałasem podniósł się ze swego fotela i przed rozdaniem nagród użyczył dzieciom chwili przerwy...



Dwóch panów wniosło do klasy w koszu nagrody honorowe.

Z ponurą, zgnębioną zupełnie miną rzucił nauczyciel chłopcu znak, nakazujący mu usiąść.

Po chwili dwóch panów z rady wniosło do klasy w koszu, dźwiganym za dwoje uszu, nagrody honorowe

dla uczniów. Widać tam było książki w barwnych okładkach, ze złotym napisem na grzbiecie i takim delikatnym zapachem świeżości, idącym z czerwonych brzegów kartek, że miałbyś ochotę nie tylko je czytać, ale nawet skosztować. Wyglądały spod nich śliczne piórniki z rzeźbionymi na wieczkach figurkami z drzewa. Pokrywki ich zatrzaskiwały się sztucznie przy otwieraniu i zamykaniu. Wspaniale błyszczały nowiutkie tabliczki do pisania, na których żal się wprost robiło kreślić jakieś litery; potem grube, żółte gąbki, pachnące jeszcze ciągle oceanem, któremu je wydarto, w końcu niebiesko oprawne, czyściutkie zeszyty... zdające się same napraszać, by je co rychlej radosną treścią zapisała rączka dziecięca...

Jakże pożądliwie zerkały dzieci ku tym nagrodom... W każdej parze jasnych błyszczących oczu żarzyła się iskierka, ba, nawet cały płomień nadziei, że taka jedna książka, czy piórnik, czy choćby w najgorszym razie gąbka dostanie się im w udziale... A może z gąbką i tabliczka... Któż to odgadnie?

Jedynym, który się niczego nie spodziewał — był nasz Wacek. Ale to bynajmniej nie znaczyło się jakimś cieniem na jego jasnej twarzyczce. Przecież wśród tych nagród nie dostrzegał ani jednego miłego dlań podarku, przeciwnie, same narzędzia jakiejś nowej udręki. Więc też bynajmniej za nimi nie tęsknił. Dawnej męczarni miał przecież aż nadto. Z tą niemal królewską nieświadomością, z którą jakiś dziki murzyn odrzuca diament, jako bezwartościowe szkiełko, Wacek uśmiechał się z politowaniem nad tym koszem pełnym rzekomych klejnotów, które mu nic, ale to nic dobrego dać by nie zdołały...

Nie myślał on już ani odrobinę o tej okrutnej trwodze, jaką dopiero co ścierpieć musiał przy egzaminie z czytania, ani o publicznym ogłoszeniu postępów dzieci, które teraz nieubłaganie miało nastąpić. Chciał myśleć tylko o jednym! Że oto jego pierwszy rok szkolny minął — chwała Bogu — na zawsze, że za moment rozpoczną się letnie wakacje, że przez całe, pełne cztery tygodnie, nie będzie musiał wysiadywać w tych okropnych, szarych ławach szkolnych... Z szaloną, dziką radością układał w tej chwili swoje wakacyjne plany, w których pełno było zieleni łąk z brunatnymi krowami i owcami o żółtawej wełnie, pełno tych słodkich, cienistych popołudni pod liściastym sklepieniem starych buków i tych leśnych źródeł... chłodnych, przejrzystych...

I już widział w myśli, jak rozgrzane w słońcu, letnie siano paruje przedziwną, słodką wonią i delikatnym pyłem kwiatowym... słyszał, jak trzmiele huczą swym basem dokoła niziutkich, blado-różowych kwieci koniczyny... i oto on sam już kładzie się rozkosznie na trawie... Małe, wesołe chrząszcze wyprawiają swe harce... A duże, bieluchne chmury i wyżej jeszcze cichy błękit nieba wiszą nad nim, jakby jakieś przecudne sklepienie. A tymczasem, tuż koło niego pędzą w spokojnej ciszy rodzinnej wioski, bezszelestnym krokiem płyną i płyną słodko-leniwe godziny wakacyjnych wczasów...

A gdy tak Wacek zagłębiał się w swe najdroższe letnie marzenia, pan Filip zmartwiały, lodowato zimnymi palcami, wydobył z szuflady nieszczęsny wykaz postępów uczniów. Spoglądał nań takim wzrokiem, jakby miał przed sobą własny wyrok śmierci. Nie widział, jak tymczasem proboszcz i prezes rady szkolnej nieco ukrad-

kiem spozierali w jego stronę, resztę jej członków wymownymi gestami przywołując ku sobie. I tego również nie widział, jak ksiądz zapuścił rękę w głęboką kieszeń surduta i wyjął z niej jakieś pudełeczko z czerwonej skóry, z którego słychać było dość wyraźnie tykanie ciężkiego, srebrnego zegarka z sekundnikiem i, jak to ksiądz dobrze wiedział, z repetierem dźwięcznie wybijającym żądaną godzinę.

Filip nic nie słyszał i nic nie wiedział, co się koło niego działo; widział tylko jedno: liczby w wykazie postępów uczniów, a wśród nich szczególnie dokładnie dostrzegał jedną cyfrę... ciężką, grubą, potworną, która do niego, jakby z szatańskiego pyska szczerzyła zęby i doprowadzała go wprost do omdlenia. Już nie chciał na nią w ogóle spoglądać, a przecież pod jakimś fatum musiał ją właśnie ciągle widzieć przed sobą. Coś go do tego po prostu gwałciło.

— Panie nauczycielu!

Filip podniósł głowę i teraz dopiero, pełen najwyższego zakłopotania dostrzegł przed sobą proboszcza z zegarkiem w ręku i członków rady stojących za nim w uroczystym półkolu.

— Panie nauczycielu! — powtórzył ksiądz, a na jego różowych policzkach zjawił się uśmiech przemiły i wprost zaraźliwy dla wszystkich. — Zanim przystąpimy do aktu rozdzielania nagród tym pilnym uczniom, musi nam pan pozwolić, że i jemu, jako pilnemu nauczycielowi, wręczymy nagrodę. Posiedzieć sobie jakiś roczek w szkolnej ławie — to jeszcze nic nie znaczy — tu proboszcz spojrzał na dzieci, jakby dla zaznaczenia drobnej wartości ich pracy, — ale — ciągnął dalej, — pełnych

dwadzieścia lat z nauczycielską laseczką i książką stać przed ławkami dzieci i tłumaczyć A B C, to znów tabliczkę mnożenia, oto dzieło, którego nikt, a już najmniej taka mała wioska, jak Lachweiler, nie potrafi dostatecznie nagrodzić.

Przy pierwszych słowach tej przemowy, nauczyciel zbielał jak kreda, przy dalszych stanął w ogniu, by znów za chwilę zblednąć... Fala krwi gwałtownie zalała mu oczy, potem znów rzuciła się do serca. Bezradnie patrzył na proboszcza, to znów na błyszczący zegarek...

— Jedno całe pokolenie wychowałeś pan dla naszej wsi — mówił dalej ksiądz, — a oto już nowe wyrasta i kształci się w tych ławkach. W tych ciągłych przemianach, wesołych lecz tak utrudzających, pan trwałeś jedyny, zawsze ten sam, niezmienny, spokojny. Co roku otwierałeś tę samą starą książkę na pierwszej stronie i, odwracając kartę po karcie, przerabiałeś ją do ostatka z tymi dziećmi tak miłymi, to znów nieznośnymi, to mądrymi, to znów głupiutkimi... Szanujemy za to pana i kochamy. Chciej pan to zachować w pamięci, — a my zapewniamy, że nigdy pana nie wypuścimy z naszej wioski...

Filipa trzęsło coś jak w febrze. Pogodne słowa proboszcza sprawiły mu w pierwszej chwili dużą przyjemność... Czyżby tak wiele naprawdę dokonał? — nigdy mu to nawet na myśl nie przyszło... O! jakże dobrzy i zacni byli ci ludzie, iż mu umieli tak pięknie dziękować.

— Jeśli więc dziś wręczamy panu ten oto zegarek, którego nie sporządziła maszyna, lecz we wszystkich najdrobniejszych szczegółach wytworzyła pracowita, mi-

strzowska ręka, to dzieje się to nie dlatego, by wyrazić mu wdzięczność, lecz jedynie by stwierdzić, że pragnęlibyśmy ją należycie okazać.

— Świetnie, doskonale — szepnął księdzu w tej chwili do ucha cichy głos doktora.

— Bo ni złoto, ni srebro nie zdołają nigdy dorównać miłości i mądrości nauczyciela. Ale my, my byśmy pragnęli przynajmniej, gdybyśmy potrafili, z całą ochotą dziękować, a ten oto zegarek ma być dla pana dowodem tych naszych pragnień i naszej nieudolności w ich urzeczywistnieniu.

Aż do tej chwili Filip stał sztywny, nieporuszony, jakby sparaliżowany zgotowaną mu niespodzianką. Teraz zdobył się na jakiś ruch głową i rękami, jakby chciał wyrazić swój sprzeciw.

— A gdy w tym zegarku usłyszy pan odgłos młoteczków i dzwonków — tutaj nacisnął ksiądz niespodzianie sprężynkę — i umilkł na moment, póki zegarek nie wydzwonił jedenastoma dźwiękami nadeszłej właśnie godziny, która brzmiała po klasie jasno i srebrzyście wśród całkowitej ciszy pełnych zdumienia dzieci — niechże mu się wówczas przypomną delikatne głosy dziecięce tych maluczkich, którychś to pan tak doskonale wyuczył, by nam tu dziś przy egzaminie opowiedziały tyle pięknych rzeczy. A gdy pan będziesz oglądał te liczne kółka, sprężynki i sztyfciki, które wzajemnie o siebie zaczepiają w tych kopertach, niech pan myśli o tych niezliczonych właściwościach duszy dziecięcej, z którymi pan musiał się liczyć, które pan musiał przełamywać lub rozwijać i spajać w jedną harmonijną całość. A jak na tarczy tego zegarka widać wskazówkę, która nigdy się w tył

nie cofa, tak niech pan pamięta, iż nic z tego dobra, coś dokonał, nie zapodziało się ani nie zginęło gdzieś w drodze, lecz, że to wszystko przechodzi w przyszłość od pierwszej godziny z tymi specjalistami abecadła aż do dwunastej, wśród pełnej, dojrzałej pracy przy naszych dwunasto- i trzynastoletnich łobuzach.

Z tymi słowami, akcentowanymi umyślnie po łobuzersku, czcigodny kapłan wręczył nauczycielowi piękny, srebrny zegarek.

Filip wziął go mechanicznie do ręki i położył na swej katedrze, nie mogąc absolutnie znaleźć choćby słowa podzięki.

I zaraz potem mówca wraz z panami radą podszedł ku niemu i wszyscy z jakimiś życzeniami brzmiącymi dość niezrozumiale, niemniej bardzo serdecznie, ściskali mu zimne jak lód dłonie.

Tymczasem wszystkie dzieciaki stawały na palce i wypatrywały sobie oczy w kierunku srebrnego klejnocika na katedrze. A Wacek śmiał się naprawdę całą gębą.

— Dziękuję... to niezasłużenie... — wyjąkał wreszcie ze siebie Filip, gwałtownie przecierając czoło.

Z tym wszystkim bowiem czuł się zupełnie niedobrze w tej mieszaninie radości i smutku.

Tymczasem nasz mały, pękaty prezes rzucił się na swój honorowy fotel i sapiąc, jak zwykle, zawołał:

— No, panie Pfleger, jak tam? Zanim się zabierzemy do oblania egzaminu, spytam, czy masz pan już gotowe kanapki?

— Ma się rozumieć, panie prezesie — odrzekł zapytany, potakując głową.

— Więc zanim przejdziemy do jakiejś wypitki — tu prezes widocznie zwilżył językiem wyschnięte wargi — pragnęlibyśmy jeszcze posłuchać, jakie też noty mają nasze dzieci... Panie nauczycielu! Proszę zaczynać...

Na te słowa we wszystkich ławkach zapanowała znowu zupełna cisza. Rodzice dzieci poczęli cisnąć się w stronę nauczyciela, by lepiej słyszeć oceny. Proboszcz stanął przy koszu i chwycił w rękę pierwszą nagrodę. Była to książka wspaniale oprawna ze złotymi brzegami... Zawierała życiorysy sławnych dzieci w opowieściach i obrazach.

Nagroda przypadła Emilowi. Był on najlepszym wśród „bardzo dobrych".

Dalsze „pierwsze nagrody" uzyskało jeszcze sześcioro dzieci, cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Z jakąś mieszaniną uczuć strachu i ciekawości podchodziły one na środek sali, odbierały podarki, całując księdza w rękę. Czyniły to z całą ochotą, zarówno wysokie, dorastające już dziewczęta, jak i chłopcy-dryblasy już, mimo młodego wieku... Mogłoby się to komu wydać dzieciń;stwem, ale taki już był stary i święty zwyczaj w Lachweiler i nikt by go nie zdołał wykorzenić.

Z jakąż zazdrością za tą garstką wodziły inne — te mniej szczęśliwe. Z twarzyczek, które nie były jeszcze zdolne się maskować, pałała ona całkiem wyraźnie, gdy z bliska już dojrzały, jakie to prześliczne książki ze złoconymi tytułami i piękną, płócienną oprawą stały się udziałem wyróżnionych.

Przyszła teraz kolej na tych, co mieli postępy „dobre". I ci jeszcze stanowili gromadkę dzielnych malców,

co to w przyszłym życiu niejednokrotnie mieli się bardziej wybić, niż ci, pełni blasku i „celujący“. Bo owi „dobrzy“ — później w pracy okazują się bardziej wytrwalsi, spokojniejsi, cierpliwsi i nie podlegają tak łatwo



Nagroda przypadła Emilowi.

różnym nastrojom i humorom, raz olśniewającym, to znów dziwacznym, jak tamci „mali geniusze“.

Powoli koszyk wypróżnia się aż do dna... Ksiądz wręczył komuś już ostatnią gąbkę...

I oto przychodzi kolej na długi, długi sznur „dostatecznych“. Ci oczywiście nie mogli marzyć o nagrodzie. Oni to właśnie w szkole stanowią „stan średni“. Należą do nich typy wygodne, lubiące sobie folgować, bez zbytnich aspiracji, bez zapału — ot, tacy powszechni „zjadacze chleba“. Może to i najszczęśliwsi wśród ludzi? Nigdy głowy do góry nie zadzierają, ale też nie spuszczają jej też zbyt nisko. Tak sobie raźnie, samym środeczkiem prześlizgują się poprzez innych, choć może czasem zbyt się przychylają ku ziemi. Ale ostatecznie, jakoś przechodzą przez życie. Ba, nawet najczęściej bywają więcej zeń zadowoleni i bardziej dobroduszni, jak owi „dobrzy“. Bez nich doprawdy trudno byłoby wytrzymać na świecie. Bylibyśmy po prostu starci na proch przez talenty 1-szej i 2-giej klasy... Zapanowałaby atmosfera tak ostra i gryząca, jakby się to stało z powietrzem, gdyby nagle ostry tlen znalazł się w nim sam, bez współdziałania łagodnego, kojącego azotu.

Wszystko więc, co się nie zmieściło w 1-szej i 2-giej grupie, znalazło się teraz w 3-ciej. Dzieci wywoływane jedne po drugich wstawały i jasnym głosem odpowiadały: jestem!

Każde z nich przy tym płoniło się wyżej uszu, siadało i uśmiechało się do swej ławki, zerkając ku temu najbliższemu koledze, na którego już, już właśnie przychodziła kolej. I on musiał teraz powstać, zaczerwienić się i tak samo znów potem się uśmiechać. Kilkoro dzieci tarło przy tym mocno jeden bucik o drugi, oczekując nerwowo na wywołanie ich nazwiska. A jednak nie! Przedtem jeszcze, wbrew nadziei, wezwano Herman'a Fallera, Martę Precht i małego Wernera Stumpfa...

i dopiero teraz, na samym końcu Ferdynanda Ferri, Elizę Gluck, no i tak dalej.

Ach, jakżeż okropne to wyczekiwanie, gdy już tylko trzy nazwiska zostały nietknięte, jakie straszne, gdy już tylko dwa, gdy już tylko jedno, jedyne... ostatnie.

Nareszcie! Już wszyscy, wszyscy bez wyjątku... Tylko... tylko jedno nie... Nazwisko synka nauczyciela.

Wacek czekał ciągle daremnie na swą kolej...

I nic a nic go to nie krępowało, że się miał znaleźć gdzieś na samym końcu. Czyż mógł się w ogóle czego innego spodziewać? Jakże w tej chwili radośnie uśmiecha się do ojca, który tak jakoś dziwnie powoli odczytuje dziś te postępy... Malec zakłada sobie szczupłe ramiona na piersiach... i właściwie nie widzi, nie słyszy ani ojca, ani dzieci dokoła... W uszach brzmi mu już wyraźnie szum potężny lasu, śpiewny pomruk strumyka, wróblęta ćwierkające w gniazdku, kukułka skryta gdzieś w gąszczach pagórka i wiatr świszczący doliną... Wacek już nie jest przytomny w szkole... Ugania gdzieś daleko poza wsią, już jest u najmilszego mu Ferdka, syna bogatego gazdy i ulubionego towarzysza wszelkich chwil wolnych... Z nim doi kozy, z nim razem wspina się na młode czereśnie... I dlatego to w tej chwili uśmiecha się tak serdecznie, tak radośnie...

Wakacje już z góry rzucają nań swe jasne refleksy. Nie widzi wcale, że dzieci patrzą nań z coraz większym współczuciem, im więcej osamotniony ma się znaleźć w tym wykazie... Że jego sąsiad, przemądrzały Emil, lękliwie się od niego odsuwa, jakby się jakiegoś zakażenia obawiał tak, że szeroki odstęp powstał między nimi, odstęp jak między sprawiedliwym i grzesznikiem...

Ba, nawet tego nie dostrzega Wacek, że na czole ojca błękitna żyła wzbiera mocno pod wpływem podniecenia... Nie uświadamia sobie wcale tej ciszy grobowej, jaka w tej chwili zapanowała w sali szkolnej, gdy się okazało, że już tylko jedno, jedyne nazwisko, i właśnie jego nazwisko, pozostało do odczytania. Jakżeż by to mógł zauważyć, kiedy nawet nie dostrzega, jak teraz wszyscy członkowie rady szkolnej spoglądają to na ojca, to znów na niego i w wysokim stopniu zdziwieni, szepczą do siebie półgłosem:

— Tam do diabła! Co właściwie z tym chłopcem Filipa??

A Wacek nic nie słyszy, nie widzi, tylko najspokojniej z całym poczuciem niewinności i prostoty śmieje się do oczu tych wszystkich ludzi, którzy w tej chwili tak się o niego martwią.

— Na notę niedostateczną — czyta dalej bezdźwięcznym głosem nauczyciel — nie zasłużył żaden z uczniów.

Teraz już i proboszcza ogarnął niepokój. Jego mądre oczy zdają się przenikać tajemnicę bladego jak ściana, Filipa.

Ach, w jednej chwili pojął wszystko. Pojął także całą sytuację gruby, krępy prezes rady szkolnej. Bo oto poczyna nagle z hałasem wycierać nos, co stale czynił, gdy wolał czegoś nie widzieć i nie słyszeć, choć musiał osobiście być świadkiem jakiegoś przykrego wypadku. Nawet te na wpół dzikie chłopaki, co to zawsze lubią się cieszyć z cudzego nieszczęścia, mają teraz w oczach jakiś blask współczucia dla Wacka. Jego mała przyjaciółka, Frania, siedząca tuż za nim, zanurza się nagle z całą główką, zdobną w dwa warkoczyli pod ławkę,

jakby jej rysik upadł na ziemię. Ale tam, w mroku na dole, wyciera sobie piąstką swoje wilgotne, piwne oczka. A przecież Wacek ciągle się uśmiecha, i to jeszcze bardziej błogo, niż dotąd... W tej chwili siedzi przecież w myśli na koźle wozu, należącego do gazdy Wendla, wywija biczyskiem nad parą tłustych wołów, wprzągniętych w jarzmo i radośnie wykrzykuje — wi-jo-oo...

— Postęp zły otrzymuje... zły postęp uzyskał... — Nauczyciel zachwiał się... Kartka papieru drży cała w jego rękach... Najwidoczniej coś go dławi,,, bo stęka... kaszle... nie może wydobyć głosu... Wygląda teraz, jak upiór...

— Postęp zły...

— Dosyć, dosyć, panie nauczycielu... — woła proboszcz, z jakąś nienaturalną u niego porywczością, odsuwając z hałasem krzesło. Równocześnie wszyscy członkowie rady wstają z swych miejsc, jakby na komendę.

W tejże samej chwili w duszy Filipowej dokonuje się coś niepojętego. Wyczuwa w tym wszystkim, co się dzieje, współczucie i litość... Więc chcą go oszczędzać... Zrozumiał! I natychmiast zrodziło się w nim poczucie jakiejś samobójczej sprawiedliwości. Otóż on musi wypowiedzieć to, co jest prawdą. Ani proboszcz, ani żadna inna władza nie śmie mu w tym przeszkodzić. Choćby sobie nie wiem jak wszyscy hałasowali stołkami.

— Dosyć, panie nauczycielu! Egzamin skończony. Jesteśmy istotnie zadowoleni. Całkowicie zadowoleni — słychać grzmiący głos księdza. — Nieprawdaż, moi panowie? Nieprawdaż?

— Ależ naturalnie!

— Oczywiście!

— Ma się rozumieć!

— Doskonale poszło, panie nauczycielu!

— Świetna szkoła. Wszystko w porządku!

Takie i tym podobne, wielce uprzejme głosy dolatują ze wszystkich stron do uszu Filipa.

Ale on się buntuje! Jak gdyby nie miał na świecie żadnych, bardziej zaciętych wrogów, jak ci właśnie chwalcy. Skupia więc w sobie wszystką siłę woli i woła na całą salę umęczonym, ale zarazem jakimś nieswoim głosem z uporem, jakby się obawiał, by mu ktoś nie przerwał, jakby chciał przekrzyczeć cały przeciwny mu w tej chwili zgiełk i hałas:

— Postęp zły otrzymuje Wacław Korn, syn nauczy...

I w tym momencie urywa, jakby w jednym oddechu wydał z siebie całą już siłę... Papier wypada mu z ręki... Bezsilnymi dłońmi poczyna chwytać powietrze, to znów zasłania nimi czoło, pochyla się w bok i pada jak kawał sztywnego drewna na krzesło, podtrzymany na czas ramionami proboszcza i wójta... Maleńkie, niezliczone krople potu pokrywają mu czoło, powieki opadają mu, jakby w głębokim śnie...

Więc doktor szybko rozwiązał mu krawat i rozpiął kamizelkę, zawołał o wodę i pod nos przytknął sole rzeźwiące. Dzieci strwożone ścisnęły się w ławkach, kilka dziewcząt poczęło płakać. Emil pobiegł po żonę Filipa. Korpulentni członkowie rady szkolnej chcieli koniecznie w czymś pomagać, a właściwie na każdym kroku przeszkadzali, stając spieszącym się w drodze. Jedni pobiegli do okien, by je roztworzyć, tuż zaraz inni pospiesznie je zamykali. Proboszcz obcierał zemdlonemu czoło swą jedwabną, czerwoną i całkiem jeszcze czystą chustką do

nosa, a prezes rady już po raz trzeci pytał niespokojnie Filipa:

— Panie nauczycielu, czy pan mnie jeszcze słyszy? Panie nauczycielu, czy pan mnie jeszcze poznaje?



Rzucił się do jego kolan.

Nigdy dotąd w swym życiu nie widziały dzieci podobnie bladego człowieka. Przerażone, coraz i coraz bardziej cisnęły się ku sobie, jak strwożone kuropatwy

w zaroślach, gdy dojrzą w postaci myśliwego, gotującego dubeltówkę do strzału — śmierć!

W duszy Wacka poczęła się nagle rozjaśniać jakaś ciemność. Coś zerwało mu się sprzed oczu, jakby zasłona dotąd przed oknami wisząca. Chłopczyna wyczuwał, że całe to nieszczęście stało się przez niego... Że to on był taki głupi, że on nic nie umiał czytać, że to on otrzymał tę jedyną piątkę! Więc to on zabił własnego ojca!

I straszne poczucie jakiegoś przestępstwa, które się nie da wypowiedzieć, poczucie dotąd mu całkiem nieznane, przewalać się poczęło okrutnym ciężarem poprzez jego małe, wrażliwe serduszko.

— Przecież ja nie chciałem! — zawołał na cały głos i począł się gwałtownie przepychać na środek klasy ze swej ławki... U powiek, szeroko otwartych oczu wisiały mu dwie ciężkie, przejrzyste krople łez.

— Tatusiu, tatusiu, ja już chcę się nauczyć czytać! Tatusiu!

Już się przecisnął przez zwartą grupę mężczyzn, rzucił się koło ojca na ziemię i głowinę swoją całą siłą przycisnął do jego kolan.

— Tatuśku — wołał znowu — ja naprawdę umiem opowiadanie, tylko mnie wypytaj. — Umiem doskonale. O!... Więc słuchaj: „Była raz kotka... która bardzo kochała swoje małe kocięta... Z całego serca... Głaskała je wciąż i lizała i ogrzewała ciepłem własnego futerka... I na dzień wynosiła je na dach domu na słońce, a na noc przysuwała je do ciepłego, kuchennego pieca... Ta kotka...“ Tatusiu, czy słyszysz, co mówię??

Dziecko podniosło na chwilę swoją kędzierzawą, jasną główkę z ojcowskich kolan i znowu rozpłakało

się na cały głos, widząc, że oczy Filipa ciągle są jeszcze zamknięte... Ale w tej samej chwili, mimo łkania i mimo radnych stojących dokoła, którzy daremnie próbowali oderwać go od ojca, Wacek podjął niczym niewstrzymany swoje opowiadanie...

— I nagle z powietrza, jakby zestrzelony, runął ogromny sęp... Był duży, jak chmura, a szybki, jak wicher... Dzikie swe szpony wyciągnął ku kociętom, ku tym maleńkim — bieluchnym i czarnym i brunatnym — sierść ich była delikatna jak wełna, albo jak jedwab... — O tatku, gdybyś mnie zechciał wysłuchać, no patrz, jak ja to umiem!

I znowu ukrył swą główkę między kolanami Filipa, któremu w tej chwili właśnie żona, posłuszna wskazówkom lekarza, wódką nacierała skronie.

— Ale dzielna kotka broniła się przed drapieżcą! A była przecież od niego o tyle mniejszą — wołał już Wacek tak prędko, jakby od tego opowiadania życie ojcowskie zależało. — I wolała, by ją rozdarł w sztuki i rozdrapał szponami i porwał w przestworza, byle tylko nic złego nie spotkało jej małych kociątek...

— Cicho, mały! — zgniewał się wójt i próbował oderwać rękę chłopca od kolan chorego. — Co to wszystko pomoże?

— Niech go pan zostawi — zawołał doktór i wskazał mu powieki Filipa, które się poczęły właśnie roztwierać, powoli i z jakimś widocznym zdumieniem...

— Tatku! — Kotka całą siłą zawisła sępowi u szyi. I już go nie puściła! A przecież jego szpony sprawiały jej taki straszny ból! Dla moich dzieci — myślała so-

bie — to dla moich dzieci. — Tatusiu? — prawda, że dobrze opowiadam?

Pełne zdumienia szepty słychać było w szeregach stojących dokoła egzaminowych gości. Ojciec Wacka uśmiechnął się raz i drugi, czy może tylko próbował pokazać, że się uśmiecha... Ręce jego jednak zwisały dalej bezwładnie poprzez poręcze krzesła i oczy znowu się zamknęły.

— On całą noc oka dziś nie zmrużył — wyjaśnia zebranym pani Monika, ujmując zwiotczałe ręce męża i rozcierając je w swych ciepłych dłoniach. — I nic do ust nie wziął na śniadanie. Cóż dziwnego, że się biedakowi źle zrobiło! Ach, jak on już potrzebuje tych wakacji!

— Tatuś! To ja już opowiem do końca. Posłuchaj tylko! — „Nasza kotka zbyt już ciążyła ptakowi. Jak ołów wisiała mu pod gardłem i dusiła go swymi pazurami. Opuścił więc skrzydła i runął w dół, prościutko, jak kamień. Spadli oboje tuż obok małych koteczków. Oboje nie żyli — napastnik i jego ofiara.

W tej chwili udało się jakoś Filipowi dosięgnąć prawą ręką twarzyczki syna. Zaledwo poczuł Wacek tę małą pieszczotę, porwał obiema rączkami wielką, zimną jak lód dłoń ojca do swych ust i począł ją obcałowywać po wszystkich z kolei palcach, to z góry, to z dołu, zanosząc się płaczem, to znów śmiejąc się z wielkiej radości...

— Tatuśku! — ciągnął z świeżym zapałem — tatuśku. — „A te biedne maleństwa! Ach, Boże drogi! Jakże obwąchiwały zwłoki swej mateczki... jak jej lizały łapki, ocierały się o jej futerko, szukały jej pyszczka...

Nieszczęsne, małe kocięta... Krew sączącą się z jej rany brały w swe pyszczki i chciały ją rozgrzać, ożywić...

Teraz Filip słuchał już Wacka z szeroko rozwartymi oczyma i z widocznym ożywieniem. A dziecku jakaś iskra, pełna radości strzeliła nagle z oczu i krzycząc niemal, kończył swoją przedziwną opowieść:

— I na pewne, tatuśku, napewne od tych pieszczot mateczka ich ożyła. Przecież nie umarła tak całkiem, jak to pisze w książce! Była tylko śmiertelnie wyczerpana i chora! A teraz ocknęła się i ożyła... I okropna radość zapanowała w sercach kociąt. No, tatku, czy tak nie było? No, prawda, że tak? No widzisz, jak ja potrafię opowiadać, a teraz już się i czytać nauczę i rachować... Już chcę tak mocno, tak mocno! I znowu począł okrywać pocałunkami, z każdą chwilą coraz cieplejszą rękę ojcowską.

I oto Filip z lekkim uśmiechem na bladej jak ściana twarzy, uniósł się nieco w krześle i podnosząc Wacka z ziemi, przyciągnął go ku sobie.

— Nigdy nie przypuszczałem... To więcej warte od czytania — szeptał — i z radością tulił chłopca do twarzy, wilgotnej jeszcze i pachnącej od dopiero co wcieranej mu wódki.

— Otóż to właśnie — wtrącił się doktór swym twardym nieco głosem — otóż niestety, pan o tym nie wiedziałeś. Okazało się tym razem, że uczeń mądrzejszym był od swego nauczyciela! — Mówiąc to, dał znak swemu Emilowi, który siedział w pierwszej ławce. Chłopiec zerwał się z niej natychmiast.

Tymczasem ksiądz proboszcz, rzuciwszy okiem na podłogę, gdzie leżał przez nikogo niedostrzeżony wykaz postępów dzieci, odczytał sobie wszystkie noty. Szybko

maczając pióro w kałamarzu, zawołał na całą salę swym donośnym głosem:

— Czy zgodzicie się panowie radni, że ja teraz tutaj wymażę tę piątkę, a wpiszę w jej miejsce dwójkę?

— Rozumie się — rozległo się w odpowiedzi całym chórem z ust, zarówno tych, co byli członkami rady szkolnej jak i reszty zebranych.

W tej samej chwili przeciągnął ksiądz tak zamaszyście piórem, iż w powietrzu słychać było wyraźnie coś jakby cięcie miecza. Chyba nigdy z większym zapałem nie uśmiercił piątki i nigdy foremniejszej dwójki nie nakreślił w swym życiu. Dwójki z jakąś dumną, okrągłą, lwią głową i wspaniałym, w pierścień zwiniętym ogonem...

— No, Emil — trącił doktór syna, który tymczasem znalazł się tuż obok ojca, — powiedzno mi — głos lekarza zachował swą twardość, ale najwidoczniej drżał lekko z wewnętrznego wzruszenia — jak Wacek opowiedział nam tę całą historię?

— Dobrze — odpowiedział chłopak z pewnym wahaniem.

— Patrzcie, tylko tyle — pomyślał sobie nauczyciel, ale opanowując się, nic nie dał poznać po sobie.

— Cóż jest więc teraz twoim obowiązkiem? — pytał dalej doktór z miną sędziego śledczego.

Chłopiec z widocznym zakłopotaniem spoglądał swymi stalowymi oczyma to na swego kolegę, który ciągle jeszcze klęczał u kolan ojcowskich, to znów na śliczną książkę o młodych bohaterach, która jednym rogiem wystawała mu z za odświętnej bluzki. Potrząsnął głową, jak gdyby staczając ze sobą walkę wewnętrzną... raz jeszcze

wstrząsnął nią nieco gwałtowniej i wreszcie zdecydowanym ruchem wyciągnął książkę z zanadrza.

— No, Wacek, — rzucił, schylając się do kolegi — masz moją nagrodę...

Pan Filip usiłował wstać, próbował zaprzeczać. Ale doktór odebrał mu głos rozkazującym wzrokiem swoich czarnych źrenic.

— A dlaczego, Milku — pytał dalej nieubłaganie, jakby mu szczególnie o to chodziło, by dumnego chłopca do samego dna upokorzyć, — dlaczego nagroda należy się Wackowi, a nie tobie?

Palący rumieniec zalał na mgnienie oka twarz chłopca. Pochylił się całkiem zmięty, jeszcze bliżej i wyrzekł niemal szeptem:

— Bo umiał lepiej to opowiadanie ode mnie!

Teraz jednak zgryźliwy doktór nie mógł dłużej wytrzymać. Silnie pochwycił syna, porwał go ku sobie, podniósł aż do swej poszarpanej brody i okrył gwałtownymi pocałunkami.

Był teraz o wiele bardziej dumny z syna, którego pozbawił nagrody, niż gdyby Milek cały kosz honorowych podarków miał mu przynieść do domu.

* * *

Nigdy chyba jeszcze, odkąd istniało Lachweiler, bankiet poegzaminowy nie odbył się w nim w bardziej serdecznym nastroju. Popijając wino, za każdym niemal razem mistrz Filip z łagodnym uśmiechem oświadczał biesiadnikom:

— Może myślicie, że jestem chory? Głupstwo! — powiadam. Dziś dopiero naprawdę wyzdrowiałem. Dziś dopiero czuję się rzeczywiście zdrowym! Wyrwałem się z choroby suchej litery, odszukałem ducha! Ha! dziś dopiero!

Mówił to odrobinę jeszcze w gorączce, odrobinę pewno i na skutek paru kieliszków. Ale wcale się nie mylił. Cudowna przemiana, którą miał na myśli, dokonała się w nim istotnie i w pełni bez żadnego cudu!

* * *

O drogie, o święte dni młodości w tej cichej wiosce, ukrytej pod starymi drzewami orzecha i poczerniałymi od starości, gontowymi dachami! Nadleciałyście pędem jaskółek i jako jaskółki przeleciałyście w mgnieniu oka! A gniazdka przez was lepione rozpadły się już niemal wszystkie...

Ale mistrz Filip został. Żyje jeszcze w swej szkółce i bynajmniej tak prędko nie zamierza jeszcze porzucić swej nauczycielskiej laseczki. Już 29 razy przeszedł z dziećmi od 1-szej do ostatniej strony swą czytankę i dziś jeszcze najchętniej rozpocząłby ją z trzydziestym pokoleniem swych uczni.

A jego Wacek, to dziś już poważny we wsi gazda. Zapewne! Młody doktór, Emil Nubener posiada w swej stajni piękniejsze konie, Ferdek, przyjaciel dochował się roślejszych wołów, a kierdele owiec u ojca dawnej, małej Frani szczycą się o wiele delikatniejszą i cięższą wełną...

Ale w całej wsi najbardziej mleczne krowy, najżwawsze kozy i najwyższej klasy drzewa owocowe należą do Wacka Korna...

Mimo to wszystko został on nadal pełen swej dawnej skromności i chętnie zgadza się na dyskusję co do owego pierwszeństwa. Jedno tylko jest dlań bezsporne... Że w całej wsi, ba, co więcej, w całej „giografii“ pana prezesa rady szkolnej — on jest najszczęśliwszym mężem najpiękniejszej pod słońcem żony. To dla niego jest tak oczywiste, tak pewne, że jakąkolwiek dyskusję na ten temat uważa za całkiem zbyteczną...

A gdy zapadnie wieczór w świętą niedzielę i wielu innych obywateli Lachweileru myśli o kartach albo za-

bija czas przekomarzaniem się z szanownymi małżonkami — nasz „gazda“ Wacław zabiera się do pisania... I któżby uwierzył? — Snuje cudne opowieści i poezje, które potem na Nowy Rok zjawiają się w przepięknych kalendarzach ludowych... A później, w długie, zimowe wieczory w wieśniaczych izbach gromadki zdumionych i zachwyconych dzieci otaczają starą babunię, która przez przymglone od starości okulary z całą rozkoszą odczytuje je wolno swym ukochanym wnuczętom...

A nasz pan Filip?

Gdy znajdzie się w gronie poważnych gospodarzy przy świątecznym kuflu piwa w gospodzie „pod gwiazdą“, gdy zasiądzie przy stole gęsto obsadzonym niedzielnymi gośćmi, nie bez głębokiego wewnętrznego zadowolenia rzuca czasem sąsiadowi niby półgłosem, ale przecie tak, aby wszyscy słyszeli, maleńkie pytanie:

— Która też będzie, panie Holderbauer, godzina?

— Będzie za pięć minut szósta — odpowiada w zastępstwie pytanego pan kościelny, zerknąwszy przez niskie okno ku zegarowi na kościelnej wieży.

— Ee! Zegar na kościele dobrze się spóźnia, — wyrywa się w tej chwili wójt i wyciąga z kamizelki swój ciężki zegarek, o którym wielu w Lachweiler złośliwie twierdzi, że bynajmniej nie jest srebrny, lecz całkiem po prostu niklowy — brakuje czterech minut do szóstej.

— Ale, gdzie tam — jeszcze sześć minut — woła Holderbauer, patrząc na swój zegarek z sekundnikiem...

— Otóż moi panowie — wtrąca się z powagą nauczyciel, odkrywając srebrną kopertę swego wspaniałego chronometru — w tej chwileczce mamy dokładnie godzinę piątą, minut dziewięć i trzy czwarte...

Tu z godnością podnosi się ze swego stołka:

— Mam jeszcze parę zadań szkolnych do poprawienia — wyznaje z uśmiechem. — Ale proszę, posłuchajcie jeszcze i...



— Otóż moi panowie w tej chwileczce mamy dokładnie godzinę piątą, minut dziewięć i trzy czwarte...

Naciska srebrną główkę zegarka i w tej samej chwili z wnętrza cennego mechanizmu rozlega się cichy, lecz

bardzo donośny głos dzwoneczka. Dziń-dziń-dziń-dziń-dziń-dziń. Sześć uderzeń raz po raz.

— Aa, świetny zegarek... Wspaniały... Arcydzieło... — słychać zewsząd słowa uznania i pochwały....

A nauczyciel całą duszą łowi ostatnie, cichnące dźwięki i w tej chwili zdaje mu się, jak gdyby słyszał dziecięce głosy swych drogich, małych uczniów, jak rachują... to znów czytają z niesłychanym przejęciem, jak deklamują z dumą o szwajcarskiej ojczyźnie i jej dziejach, ojczyste opowieści i bajki, jak śpiewają czcigodne, ludowe pieśni... I stary nauczyciel z całą duszą odczuwa, jak go coś nieodparcie ciągnie ku tym niebieskim zeszytom i czarnym kałamarzom, ku kredzie i liniom, ku gąbce i laseczce — jednym słowem ku tej całej poezji jego szkolnej izby, pełnej woni słodkiego uroku dziecięctwa i powagi dostojnej wiedzy...





